OPŁATĘ POCZTOWĄ UISZCZONO GOTÓWKĄ

Cena 50 gr.

REDAKCJA: LWÓW, JAKÓBA STRZEMIĘ 8

1 grudnia 1936 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
24 NUMER PISMA

Sygnały

miesięcznik • sprawy społeczne • literatura • sztuka

STEFAN RUDNIAŃSKI

MATERJALIZM DJALEKTYCZNY

I

Ci, co, znając materjalizm djalektyczny tylko ze słyszenia, ferują o nim apodyktyczne wyroki, sądzą zazwyczaj, że osobliwość jego polega wyłącznie na nastawieniu wybitnie praktycznem, na charakterze bojowym („materialismus militans" jako antyteza „ecclesiae militantis"). Ale także nastawienie i taki charakter cechowały ongiś również materjalizm francuski w. 18. Odmienne były wszakże *źródła społeczne* materjalizmu mieszczańskiego przed r. 1789 — i materjalizmu proletarjackiego w. 19—20, jak również rozbieżne niektóre przesłanki teoretyczne. Pewno, że jeden i drugi materjalizm ujawniał tendencję aktywną w sensie *przechodzenia filozofji w politykę*, a nie ulega również wątpliwości, że obie odmiany materjalizmu schodziły się w jednym punkcie, mianowicie w uznaniu *pierwotności przyrody wobec ducha*. Jednakowoż sama praktyka materjalistów w. 18 nie wypływała konsekwentnie z ich poglądu na świat i poznania, nie wiązały się z tym poglądem nawet etyczne, pedagogiczne i prawno państwowe teorje „filozofów bojujących". Ów brak konsekwencji i spoistości wewnętrznej wynikał z braku *idei ewolucji świata i człowieka jako istoty aktywnej w poznaniu i w czynie*. Ten właśnie kardynalny brak nadawał materjalizmowi w. 18 piętno *kontemplacyjno-statyczne* i obniżał tem samem jego wartość użytkową w charakterze teoretycznej podstawy konsekwentnego działania praktycznego. Żądnej czynu mieszczańskiej młodzieży niemieckiej drugiej połowy w. 18 wydawał się materjalizm francuski, według autorytatywnego świadectwa *Goethego* w „Dichtung und Wahrheit", „trupim, szarym, cymeryjskim".

Dlatego też współcześni przedstawiciele młodzieży niemieckiej późniejszej generacji i przyszli „Dioskurowie" socjalizmu naukowego, szukając „mostu, wiodącego do rewolucyjnych czynów praktycznych" (słowa młodego *Engelsa*), odwracają się zrazu od materjalizmu w. 18 i stają na gruncie teoretycznym *idealizmu heglowskiego*. Hegel podjął przecież genjalną i śmiałą próbę ujęcia całej rzeczywistości i jej poznania nie jako czegoś gotowego, danego, jeno jako nieskończonego, ciągłego pochodu rozwojowego, którego motorem napędowym jest sprzeczność wewnętrzna, walka przeciwieństw, prowadząca wieczyście naprzód („Der Widerspruch ist das Fortleitende"), rozsadzającą gwałtownie w pewnych momentach przeżyte kształty i stwarzająca dla nowej treści nowe również formy. Czynność poznawcza człowieka stawała się w tej koncepcji bynajmniej nie biernem odbiciem danej rzeczywistości, jeno nabierała charakteru aktywnego, kształtującego nowe oblicze świata.

Tę jednak „stronę czynną" rozwijał klasyczny idealizm niemiecki, zdaniem młodego Marxa, „tylko w sposób oderwany" i dlatego też nie mógł prowadzić do żadnych konkretnych rewolucyjnych czynów praktycznych, do żadnych realnych przeobrażeń bytu społecznego. Toteż już w młodzieńczej „Ideologji Niemieckiej", usiłuje Marx przezwyciężyć jednostronność zarówno materjalizmu w. 18, jak idealizmu niemieckiego. Czyni to w sposób następujący. Przyroda zewnętrzna, rzeczywistość jako przedmiot historycznie przekształcającej działalności ludzkiej istnieje *przed* tą działalnością jako byt materjalny, podlegający ciągłym przemianom. Współczynnikiem owych przeobrażeń staje się również, z chwilą powstania człowieka, świadoma podmiotowa działalność ludzka czyli „żywa praktyka", przekształcająca, rewolucjonizująca daną rzeczywistość. Przedmiotem owej praktyki jest z jednej strony przyroda, z drugiej — samo społeczeństwo ludzkie, z jednej strony „opracowanie przyrody przez ludzi, z drugiej opracowanie ludzi przez ludzi".

Z tak pojętą praktyką łączy się teorja w samym procesie przekształcenia rzeczywistości materjalnej, w „działalności przedmiotowej" człowieka. Tutaj powinien on dowieść prawdziwości swego myślenia, t. zn. wykazać, że posiada ono moc nad rzeczami nie, jak u Hegla, w niebiańskich regjonach pojęć oderwanych i wyobrażeń religijnych, jeno w świecie doczesnym, w rzeczywistości materjalnej. Oto sens słynnej tezy 11-tej Marxa o Feuerbachu, „filozofowie dotąd tłumaczyli jedynie świat w rozmaity sposób, chodzi jednak o to, aby go zmienić". Wytyczną w dziele tej przemiany staje się wiedza zdobyta nie drogą czystego myślenia, odosobniającego się od praktyki, lecz w najściślejszym z nią związku. Tylko taka *scientia* przeobraża się w *potentia*, jak u Bacona.

II

Poznanie, przeistaczające się w rzeczywistość, nie ma oczywiście charakteru kontemplacyjnego — odznacza się, przeciwnie jak największą *aktywnością*. Więź poznania, teorji z aktywnością podmiotu poznania z praktyką, czyli, mówiąc inaczej, związek świadomości z czynnością żywotną organizmu założony już jest w samem *przejściu od materji do świadomości*. Wprawdzie „duch jest tylko najwyższym produktem materji", wprawdzie świadomość jest tylko czynną siłą materji, — jednakowoż czucie i wogóle świadomość, mimo swe pochodzenie i uwarunkowanie, posiada odrębną swoistość, własną cechę jakościową, własną osobną prawidłowość i względną samodzielność.

Dlatego właśnie świadomość, aczkolwiek wyznaczona przez niższe formy ruchu materji czyli poprostu przez byt, wywierać może na nie *wpływ odwrotny*, w pewnych zaś warunkach odgrywać wyjątkowo aktywną rolę w dalszym rozwoju wyznaczających ją niższych form ruchu lub inaczej bytu. Stąd pochodzi marxistowska nauka o wpływie aktywnym poznania i wogóle ideologji czyli t. zw. „nadbudowy" na byt materjalny czyli t. zw. „podstawę", „bazę".

Pamiętać wszakże należy że, według marxizmu ortodoksyjnego, teorja, poznanie jako najwyższe świadome odbicie rzeczywistości objektywnej nie przestaje być w swej najgłębszej osnowie wzajemnem oddziaływaniem *materjalnem*, zachodzącem między „*homo oeconomicus*", t. zn. człowiekiem społecznym, jako wytwórcą dóbr materjalnych, a otaczającem go środowiskiem. Innemi słowy, materjalna praktyka społeczna jako praktyka nieuogólniona stanowi punkt wyjścia i podstawę teorji jako praktyki uogólnionej lub jako odbicia świadomego.

Nauka o oddziaływaniu wzajemnem ideologji i bytu materjalnego nadawała się doskonale jako narzędzie w dziele świadomej i celowej przemiany bytu społecznego, zwłaszcza w okresach przejściowych, gdy idee, wytworzone przez rozwój dziejowy, stają się materjalnemi siłami czynnemi i uzyskują moc działania: przyoblekając się wówczas w ciało, decydują idee o przebiegu wydarzeń i popychają naprzód historję. Stąd pochodzi tak wyjątkowo doniosła ocena znaczenia świadomości u przywódców rewolucyjnych stronnictw robotniczych. Np. autor „Co robić?", mówiąc w latach 90-tych zeszłego wieku o konieczności wniesienia świadomości socjalistycznej do ruchu robotniczego jako o zadaniu pierwszorzędnej wagi i występując przeciwko wszelkiemu podporządkowaniu się żywiołowości w tym ruchu, bierze za punkt wyjścia naukę marxowską o względnej samodzielności ideologji.

III

Podmiotem świadomości socjalistycznej jest, zdaniem marxistów ortodoksyjnych, w sensie najszerszym klasa robotnicza, ściślej zaś mówiąc, jej najbardziej uświadomiony zastęp czołowy, zorganizowany w partję polityczną. Ale na tem nie kończy się rola proletarjatu, wzgl. jego partji w marxistowskiej teorji poznania. Marx mówi w „Kapitale" o klasie proletarjackiej nietylko jako o podmiocie działalności historycznej, przekształcającej świat, lecz również jako o *podmiocie poznania świata*, a więc nietylko w sensie czynności praktycznej, lecz i *teoretycznej*.

Podmiot i przedmiot, człowieka i warunki zewnętrzne pojmuje marxistowska teorja poznania w sensie *historycznym*, t. zn. nie jako coś odwiecznie danego, zawsze sobie równego, jeno jako każdorazowy wytwór procesu rozwojowego. Skoro świadomość jest „wytworem historycznym" (określenie Marxa), a świat zewnętrzny nie jest czemś gotowem i niezmiennem, tedy poznanie rozumiane być musi również historycznie jako *proces*, w którym niewiedza przetwarza się w wiedzę, wiedza niepełna i nieścisła staje się coraz to pełniejszą i ściślejszą. To coraz bliższe podchodzenie do rzeczywistości, coraz dokładniejsze jej odbijanie w pojęciach ludzkich odbywa się, według materjalizmu dialektycznego, za sprawą *praktyki*. Praktyka posiada w ten sposób znaczenie nietylko fenomenalne, lecz i *przedmiotowo-realne*. Działając, stykamy się mianowicie z rzeczami zewnętrznemi i doświadczamy ich niezależności od nas, jako też od innych ludzi; o prawdziwości naszych pojęć podmiotowych, t. zn. o zgodności ich z rzeczywistością objektywną, przekonywamy się wówczas, gdy działamy, gdy stosujemy je w swej praktyce, zwłaszcza na polu techniki.

Wówczas to nieznana nam dotąd „rzecz w sobie" staje się „rzeczą dla nas", skoro nietylko poznaliśmy jej własności, ale i potrafimy swobodnie wywoływać jej działania i zmuszać ją, aby służyła naszym zamierzeniom. Tem samem staje się poznanie, również za sprawą praktyki, *przechodzeniem od konieczności do wolności* — wolności bynajmniej nie w sensie — jak się wyraża Engels — „urojonej niezależności od praw przyrody", lecz w sensie poznania jej praw i danej wraz z tem poznaniem możności planowego ich wyzyskania dla określonych celów. „Dotyczy to zarówno praw, rządzących światem zewnętrznym, jak i tych, które rządzą cielesnym i duchowym bytem człowieka" (Engels w „Anti-Dühringu").

Praktyka, jak wynika z powyższych wywodów stanowi w marxistowskiej teorji poznania nietylko pomost, wiodący od idei podmiotowej do prawdy przedmiotowej, od ideału do rzeczywistości (Engels określa ustrój socjalistyczny jako „rzeczywistość dnia jutrzejszego"), ale i *sprawdzian teorji*. Albowiem „opanowanie przyrody, uzewnętrzniające się w praktyce ludzkiej, stanowi wynik objektywnego i dokładnego odbicia w umyśle ludzkim zjawisk przyrody i procesów w niej zachodzących". Panowanie nad przyrodą jako sukces naszej praktyki dowodzi, że owo odbicie — w granicach zakreślanych nam przez praktykę — jest, według określenia autora „Materjalizmu i emfirjokrytycyzmu", „prawdą objektywną, bezwzględną, wieczną".

Skoro praktyka zakreśla granice poznania ludzkiego, niema zatem i nie może być mowy o jakowychś granicach bezwzględnych w tej dziedzinie. Wprost przeciwnie: wszelka ograniczoność poznania ma charakter względny, przejściowy, jest tylko *momentem historycznym* w dziejach poznania.

Ten *optymizm poznawczy*, cechujący marxistowską teorję poznania, wiąże się najściślej z *optymizmem społecznym*, z najgłębszem przeświadczeniem marxistów o nieuchronnem zwycięstwie ostatecznem proletarjatu jako „podmiotu działalności historycznej, przekształcającej świat" — z przekonaniem o zbieżności tego zwycięstwa z koniecznością rozwoju dziejowego ludzkości.

ADAM CZERWIŃSKI

METROPOLJA POLSKIEJ NAFTY

I

Spośród różnorakich miejscowości w Polsce Borysław jest niewątpliwie jedną z najciekawszych. By zobaczyć go, wystarczy — bilet kolejowy. Można się jednak na takiej podróży oszukać: prawdziwego Borysławia w Borysławiu się nie znajdzie. To brzmi nieco śmiesznie, ale wyraża istotny stan rzeczy. Ciężar gatunkowy tego środowiska uległ poważnym przemianom. Borysław jest młodem miastem, które zdołało się zestarzeć, zanim powstało. W pełni był sobą wtedy, gdy był wsią. Miastem został u schyłku swej świetności. Stąd pewne refleksje na temat jego przeszłości są konieczne. Bez nich byłby nieciekawy, jak stara panna bez przeszłości.

II

Borysław zdobył ongiś światową sławę spowodu dwóch elementów: ropy naftowej i błota. I jedno i drugie pozostawało tu jakgdyby w ścisłej zależności w stosunku wprost proporcjonalnym. W głębinach ziemi bogate złoża płynnego, czarnego złota, na powierzchni — bezkresne masy rozpapranej gliny, szlamu i iłu. Niezliczone tłocznie pompowały dniami i nocami ropę do zbiorników lub parku cysternowego, — korytem ulic i uliczek płynęły strumienie tłustej mazi błotnistej, na tle której życie wisiało, jak żabi skrzek, a ludzie pętali się, niby kijanki w bajurach.

III

Zwykła, brudna wieś, kisnąca w malarycznych bagnach w zaraniu bieżącego wieku trysnęła czarnem mlekiem z piersi ziemskich, wychyliła głowę z odmętów nicości i skoczyła nagle, niby pchła, na mapę świata w glorji międzynarodowej.

Mała, podkarpacka dziura, naszpikowana galicyjską nędzą i kapcaństwem, utytłana w błocie po głowę, nistąd nizowąd weszła w krąg interesów międzynarodowej polityki naftowej.

Borysław stał się metropolją naftową. Ropa stała się jego treścią. Ale treścią jego było też błoto, odwieczne, potężne błoto.

Ropa naftowa i błoto. Jedno było dopełnieniem drugiego: Borysław i Błotosław tworzyły razem borysławskie zagłębie naftowe.

IV

Na kilka dziesiątek lat przed ropą naftową odkryto w Borysławiu wosk ziemny — ozokeryt. Nielicznym mieszkańcom uśmiechnęła się wizja wspaniałej przyszłości: niewielkim kosztem można się stać bogatym i szczęśliwym. Nastąpiła jedyna w swoim rodzaju „gorączka woskowa". Kilofy miały się stać kluczem do nowego świata. Ziemia borysławska została podziurawiona szybami. Na niewielkim terenie dwustumorgowym — wedle ówczesnego sprawozdania oficjalnego — wykopano kilkanaście tysięcy szybów. Nazywano je „jamami". Niektóre osiągnęły dwustumetrową głębokość.

Wydobywanie wosku odbywało się w warunkach przerażająco prymitywnych. Do pewnego stopnia da się porównać z dzisiejszemi bieda-szybami. Urządzenia techniczne wykonywano prawie domowym przemysłem. Sprawę bezpieczeństwa powierzono łasce losu. Robotnik pracował w „jamie" niemal bez światła, często w zupełnych ciemnościach. Windy zastępowały kosze albo kubły na linach. Czas pracy wynosił 16 do 18 godzin.

Robotnicy rekrutowali się przeważnie z chłopów górskich, których spędzał tu głód, oraz z włóczęgów, przybyłych z różnych stron kraju. Pozbawieni wszelkich praw, wyzyskiwani do ostatniego tchu, maltretowani i bici — żyli na poziomie bydła. Nazywano ich „małachami". W lokalnym języku znaczy to osobnik, który przestał już być zwierzęciem ze względu na wygląd ludzki, a nie jest jeszcze człowiekiem, bo żyje na poziomie zwierzęcia. Z „małachem" nie trzeba się więc liczyć, jak z koniem, należy tylko zaprząc go do roboty i nałożyć cugle.

Panami życia i śmierci robotników byli t. zw. kasjerzy. Mianem tem określano zarządców kopalń, a kto wypłacał — miał władzę. Władzę nieograniczoną. Życie robotnika było niemal własnością kasjera. Zatrudniał głównie tych, którzy godzili się zamieszkać w prowadzonej przezeń garkuchni. Wyzyskiwał podwójnie: przy pracy i w domu. Zarobek robotnika istniał właściwie jako rozrachunek pomiędzy kopalnią a garkuchnią. Ściślej — między jedną kieszenią kasjera a drugą.

„Małachy" mieszkali w garkuchniach. W izbie o powierzchni dwudziestu metrów kwadr. gnieździło się na pryczach kilkupiętrowych po czterdzieści do pięćdziesięciu osób. Na temat ten chciałoby się powiedzieć: ponieważ higjeny wtedy jeszcze nie wynaleziono, nie wchodziła w rachubę, a gdyby coś o niej wiedziano, musianoby chyba i za to płacić kasjerowi...

Zniszczeni nieludzką pracą, zahukani, ciemni, jak tabaka w rogu, wegetowali jakgdyby w stanie półprzytomnym, niezdolni do wykrzesania z siebie woli do walki o zmianę warunków życia i pracy. Czuwali nad tem również przedsiębiorcy, na których usługach powstawała specjalna bojówka, złożona z kilkuset osób. Wszelkie próby buntów tłumiono w krwawy sposób.

Wypadki i katastrofy w „jamach" czy topiarniach wosku były normalnem zjawiskiem. Nie o to szło, kto uległ wypadkowi, ale co się stało, czy pracę będzie można nadal kontynuować. „Małacha" można przecież zastąpić w każdej chwili stu innymi, stojącymi na moście borysławskim w oczekiwaniu nabywców. Ludzie ginęli często w tajemniczych okolicznościach. Człowiek przepadał w czeluściach kopalń — nieobecność jego mogła zwrócić uwagę conajmniej towarzysza niedoli z sąsiedniej pryczy. „Małach" był bezimiennym człowiekiem. Nikt się o niego nie upomni, jego życie było poza obrębem czyjejkolwiek troski.

Los ówczesnych kulisów borysławskich — to jedna z nieznanych, choć najtragiczniejszych, kart proletarjatu na tych ziemiach.

V

Garkuchnia borysławska, jak dziesiątki innych. Powietrze przesycone wyziewami i potem. Pora obiadowa. Za długim stołem siedzą „Małachy". Dziewczyna nalewa z kotła zupę do blaszanych mis. Gospodyni siedzi za ladą, jak na tronie.

Jakiś „małach" chciał krzyknąć, ale jęknął tylko:

— Znowu śmierdzi...

— Znowu padlina — rzucił inny.

Jeden z małachów przypatruje się badawczo zupie:

— Znowu pluskwy!

— I u mnie — pada kilka głosów.

— Ile razy mam wam mówić, że to smażona cebula...

— To pluskwy! pluskwy! pluskwy!

— Cicho, małachy durne!

— Nie chcemy więcej smażonej cebuli! Nie chcemy! Nie chcemy!

— Możecie nie jeść.

— To pluskwy!

— A jak nawet pluskwy, to co? Trucizna to?

VI

Na gruzach Borysławia XIX wieku powstał Borysław wieku XX. Okazało się, że bogactwo i szczęście leżą głębiej, że serce Borysławia jest poza pokładami wosku, że jest płynne i czarne i nazywa się: ropa naftowa. Dotychczas wyciekała sama z ziemi, służyła do wyprawiania skór lub do smarowania osi. O tem, że może się stać źródłem bogactwa — nikomu przez myśl nie przeszło. Dopiero odkrycie Łukasiewicza stało się kamieniem węgielnym dla przemysłu naftowego.

Ropa naftowa występowała na całym pasie podkarpackim. Pierwsze kopalnie powstały w krośnieńskiem — o Borysławiu zapomniano, chociaż przyczynił się do badań Łukasiewicza. Ludność jego zresztą trawiła gorączka woskowa. Przypomniano sobie o nim kilkadziesiąt lat później. Odkrycie go na przełomie wieku XIX i XX stało się punktem zwrotnym dla ówczesnego przemysłu naftowego w kraju. Borysław niemal z miejsca przewyższył ówczesną ogólną produkcję krajową, wynoszącą zaledwie kilka tysięcy cystern dziesięciotonnowych rocznie. Jeden szyb „Oil-City" osiągnął około 150 cystern produkcji dziennej. W 1908 r. polska ropa zajęła trzecie miejsce w świecie, bo 210 tysięcy cystern. Jest to pociąg na przestrzeni tysiąca kilometrów. Olbrzymią większość tego pociągu produkowało borysławskie zagłębie naftowe.

VII

Małą wsią borysławską miotały konwulsje niebywałego tempa pracy. Gorączka nafty dochodziła do stanu wrzenia. Nieznaczny kawał terenu stawał się kluczem do bogactwa. Kołowrót fortuny jednych wydobywał z szarej wegetacji, drugich unicestwiał i miażdżył nieubłaganie.

Napięcie z okresu woskowego zostało wielokrotnie spotęgowane. Życie borysławskie napięło się, jak cięciwa łuku.

VIII

Nowe żerowisko stało dla wszystkich otworem. Zleciały się sępy i kruki międzynarodowego kapitału. Przybyli kondotierzy przemysłu, spekulanci, grasanci i oszuści. Borysław wtłoczony został w tryby najrozmaitszych interesów i spekulacyj. Powstawała kopalnia za kopalnią, rósł las coraz nowych szybów, dojną krowę borysławską eksploatowano prawem i lewem.

Otwarte zostały bramy wielkiego rynku pracy Nietylko dla miejscowych. Z różnych stron kraju i świata nadciągały coraz nowe falangi. Borysław przeistoczył się w mały Babilon: Polacy, Ukraińcy, Żydzi, emigranci polityczni z b. zaboru rosyjskiego, Rosjanie, zbiegli z zesłania lub przed więzieniem, Czesi, Niemcy, hochsztaplerzy, kombinatorzy, oszuści. Jedni dla pracy, drudzy dla spekulacji.

Zapanowały idealne warunki dla międzynarodowego grandziarstwa. Na skrupuły nie było miejsca ani czasu. Dorobić się, okraść, wykombinować, oszukać — byle jaknajprędzej, póki czas, póki okazja, bo jutro może być zapóźno.

Dzieje Borysławia oplecione są pasmem najrozmaitszego rodzaju afer, dostosowanych do tła, wynikających z charakteru i struktury przemysłu naftowego. W dziele o przestępczości mogłyby stanowić bardzo poważny i zajmujący rozdział.

IX

Wyjątkowość typu Borysławia — jako miejscowości — jest niezaprzeczalna. Różni się Borysław od innych odrębnym charakterem i psychiką. Gwałtowność przemian na przestrzeni krótkiego czasu, szybki proces przetwarzania się wsi w ośrodek przemysłu o najbardziej nowoczesnem przeznaczeniu — nie mogły pozostać bez wpływu na duszę ludności. Wielka skala napięcia i przeżyć w stosunkowo krótkim okresie czasu, wielopostaciowy zlepek różnych narodowości, temperamentów i charakterów ludzi na tak małym odcinku, jak borysławski, — wytworzyły w sumie kotłowisko ludzkie, jakąś bezkształtną mieszaninę, która w wielkich skupieniach rozpłynęłaby się, jak farba w rzece. Szczupłość terenu borysławskiego nie strawiła jednak tego w pełni. Namuł międzynarodowości z okresu gorączki pozostał, stał się jakgdyby plazmą Borysławia. Fale ludzkie, wyrzucane na brzeg Borysławia, sto razy odpłynęły i sto razy mogą jeszcze odpłynąć, ale ślad po nich pozostał, jak pozostają ślady istnienia na skamieniałościach dawnych formacyj.

Już to, że przemysł naftowy pod względem swojej konstrukcji różni się od każdego innego — musiało zrobić swoje. Każdy inny przemysł kieruje się pewnemi prawami, każdą produkcję można normować, wszędzie w każdem miejscu można postawić fabrykę i produkować wedle woli i potrzeby. Węgiel w porównaniu z ropą jest czemś arcysolidnem, czemś statecznem i statycznem, jest spokojem jeziora wobec potoku górskiego, jest charakterem chłopa wobec charakteru kurtyzany. Ropa naftowa jest loterją, hazardem, — dziś jest, jutro jej niema. Natrafienie na nią zależy od przypadku. Jest towarem, jak tysiące innych, ale w rękach tych, którzy ją posiadają, którzy nią rządzą — pachnie grandą. Jest w niej bowiem jakgdyby drapieżność. Królowie nafty są to ludzie o tygrysich szponach i tygrysiej krwiożerczości. Są postokroć niebezpieczniejsi od Iwanów Groźnych czy Hunnów. Tamci plądrowali czy niszczyli — ci wyzyskują ludzi i sytuacje, spaczają charaktery, demoralizują, deprawują, upadlają. Potrafią wszędzie dotrzeć i wszystkiem rządzić. Nigdzie ich nie widać, a są wszędzie obecni. Mają szczególnie rozwinięty zmysł: węch. Zawsze i wszędzie węszą. Deterding potrafi organizować powstanie w Gruzji pod płaszczykiem niepodległości, a równocześnie dławić narody, przykute do imperjum brytyjskiego. Niedawna wojna między Boliwją i Paragwajem, prowadzona w imię górnolotnych frazesów patrjotycznych, była krwawieniem się dwóch tych państw w interesie dwóch konkurujących ze sobą koncernów naftowych. Ludzie walczą za ojczyznę, nie wiedząc o tem, że walczą i giną za obce sprawy i obce interesy, bo za naftę, jak ginęli i giną za bawełnę, żelazo czy rtęć.

X

Warunkom życia borysławskiego możnaby poświęcić spory rozdział. Przekraczałoby to rozmiary niniejszego. Dla podkreślenia wagi tematu tego wystarczy stwierdzić, że doniedawna woda, zwyczajna woda była luksusem, za który płacono wodonoszom. Od lekarstwa była o tyle cenniejszą, że w całej miejscowości były dwie apteki, a zaledwie kilka studzien dla użytku publicznego.

Borysław jest miejscowością niebywałych kontrastów. Obok olbrzymiego bogactwa olbrzymia nędza, nie pozostająca w żadnym stosunku — ani liczebnie ani jakościowo — do sumy bogactw, dzięki pracy ludzkiej

STEFAN NAPIERSKI

DO SIOSTRY

O, tak, swobodny jestem. Zwolna noc uchodzi.
Rozdzielonym na zawsze jedna gwiazda płonie.
Jako w celi, zamieram w strzeżonym ogrodzie.
Wspominam oczy proste, nieulękłe dłonie.

Pomyśl, światami błądzę. Mrocznych szum gałęzi
Wyrok na ciemnych szybach na nas dwoje pisze.
Nie słuchałaś mnie, siostro. Ciebie miłość więzi.
Może wreszcie usłyszysz. I przebijesz ciszę.

Widzę ciebie, zwycięską, choć od tego ginę,
Bezlitośnie pokorna! W gruzów łunie śniadej.
Jak tonący, przerzucam poomacku linę.
Przysiągłem, że ocalę. Niema w tobie zdrady.

Może wreszcie usłyszysz w pożarów szeleście
I odpowiesz milczeniem, co przebija głuszę.
Spójrz! błądząc w zachwyceniu po nieprawem mieście,
Twoją kratę stalową srebrną dłonią kruszę.

JAN SZCZYREK

IGNACY DASZYŃSKI

Pogrzeb Ignacego Daszyńskiego w Krakowie przemienił się w spontaniczną manifestację uznania dla niepożytych zasług Zmarłego, którego treścią życia była walka polityczna z tem wszystkiem, co w ostatniem ćwierćwieczu ubiegłego stulecia i jeszcze w początkach wieku obecnego nazywało się życiem publicznem narodu polskiego. Pogrzeb ten był ostatniem, największem zgromadzeniem ludowem Daszyńskiego.

Daszyński urodził się w r. 1866; już w latach osiemdziesiątych zaczyna się buntować. Jako czternastoletniego chłopca wyrzucono go z gimnazjum w Stanisławowie za przynależność do tajnych rewolucyjnych i patrjotycznych stowarzyszeń, później wypędzają go z uniwersytetu w Krakowie za roztrzaskanie biustu rektora tej uczelni podczas demonstracji studenckiej.

Dojrzewanie fizyczne i duchowe przyszłego działacza robotniczego przypada na czasy, kiedy ziemie rozebranej Polski zaległa po ostatniem powstaniu grobowa cisza. Bo już wyginęły w powstaniu, poszły na wygnanie lub złamane klęską, rozbitki powstańcze poszukały dla swych głów schronienia w zaborze austrjackim, wśród tutejszego „trzeźwego" społeczeństwa uważane za ofiary własnego szaleństwa. A echo szubienic, na których u stóp cytadeli warszawskiej zawiśli ostatni członkowie „Proletarjatu", dodało tylko odwagi tym, którzy zawsze pragnęli pogodzić się z losem i spokojnie zażywać dobrodziejstw, jakie im niosła posiadana w nadmiarze ziemia, „płynąca mlekiem i miodem".

Zwycięski carat pozwalał się bowiem wyżyć szlachetczyźnie polskiej w pracy organicznej, rząd pruski stworzył jej znakomitą konjunkturę rolną, a w Austrji najmiłościwiej panujący monarcha oddał w rece szlachty obszarniczej ziemie zabrane w wyłączne posiadanie za przyrzeczoną i wykonywaną wierną służbę. Szły więc wiernopoddańcze adresy ze wszystkich zaborów do stolic cesarskich, a pobłogosławił im sam papież Leon XIII, zalecający w encyklice do biskupów polskich, *„że winni trwałe uszanowanie i wierność dawać władcom jako Bogu królującemu przez ludzi"*.

Stanisław Szczepanowski w swojej głośnej „Nędzy Galicji w cyfrach" pisze o „przedpotopowych tradycjach" szlachty galicyjskiej, która „przyprawiwszy o zgubę dawną Rzeczpospolitą, jeszcze dzisiaj stanowi ważną przeszkodę w odrodzeniu się społecznem naszej prowincji".

Wśród nieprawdopodobnej nędzy, w jakiej żyła wówczas masa chłopska i rzemieślnicza, wśród pańszczyźnianych stosunków gospodarczych i społecznych, wśród zupełnej martwoty umysłowej, przy absolutnem panowaniu bata ekonomskiego i kropidła, które mu błogosławiło, kiełkować zaczęła w pogrążonej w analfabetyźmie izbie robotniczej, a następnie chłopskiej, myśl ulżenia ludziom pracy w tej niewolniczej doli. Przenikać zaczęła wyzwoleńcza myśl socjalistyczna, której propagatorem niezmordowanym, upartym i obdarzonym niezwykłym talentem oratorskim, publicystycznym i organizatorskim był Ignacy Daszyński.

W Galicji, gdzie zrzadka była szkoła, przeważnie jednoklasowa, ucząca najwyżej kiepsko czytać i pisać, gdzie nauczyciel był niepotrzebnem obciążeniem budżetu krajowego, gdzie natomiast gorzelnia i karczma w każdej wsi była pielęgnowanym monopolem panującej szlachty, w tym kraju buntowanie się przeciw pracy od świtu do nocy za groszowe wynagrodzenie ścigane było jako zmowa z djabłem, w tym kraju nędzy i niedorozwoju społecznego i umysłowego wszystko, co zmierzało do usunięcia „tradycją narodową" ustalonego porządku rzeczy, było czynem rewolucyjnym, ściganym wszystkiemi stojącemi do dyspozycji prawami. A już wysuwanie przez te „niziny społeczne" hasła niepodległości uznano miarodajnie za coś potwornie wywrotowego.

Daszyński był owym wywrotowcem; przeorał ugór ciemnoty swemi świetnemi mowami, budził ludzi z uśpienia znakomitemi broszurami, organizował walkę polityczną i społeczną; walka ta wybuchła w latach 1904/5 potężnemi strejkami, przybrała rozmiary masowego ruchu w mieście i na wsi i przemieniła się w potężną akcję o prawa obywatelskie.

Z ruchem tym walczyła panująca w kraju szlachta i rosnące w jej cieniu mieszczaństwo — stanem wyjątkowym, rozwiązywaniem stowarzyszeń, drakońską cenzurą i procesami politycznemi.

Gdy ruch robotniczy wprowadził w zatęchłą atmosferę trochę świeżego powietrza, przejawiło się odrodzenie w dziedzinie literatury i sztuki. Konfiskowano utwory Kasprowicza („Chrystus"), Wyspiańskiego („Wesele"), Przybyszewskiego, Żeromskiego, na scenach teatru mogły się pojawić dramaty Słowackiego a nawet Szekspira tylko w bardzo okrojonej postaci. Trybunę parlamentarną przemienił Daszyński w arenę legalizacji nowych prądów kulturalnych, prasa socjalistyczna spełniła rolę pionierską dla całej literatury niepodległościowej.

Słusznie z dumą o tym okresie swej pracy pisze Daszyński w „Pamiętnikach": „Młody ruch robotniczy stawał się coraz bardziej wrażliwym na piękno, ale piękno wielkie i szczere, wyrażające głębię ducha ludzkiego. Burżuazyjna, idąca za chlebem sztuka nie interesowała robotników, ale Matejko i Wyspiański byli bliskimi ich duszom. Cała literatura od Żeromskiego aż do Struga tutaj najlepiej była zrozumiana; wszak wielu z tych pisarzy stawiało pierwsze kroki w feljetonach naszej prasy, gdyż nikt inny nie chciałby ich drukować. Wielka poezja w dławionej niewoli Polsce musiała być wyzwoleńczą, toteż znalazła oddźwięk w klasie rwącej się do wyzwolenia, w proletarjacie polskim. Sieroszewski, Konopnicka byli tu ulubionymi poetami.

Podczas gdy nogi robotnika socjalistycznego grzęzły jeszcze w błocie nędzy galicyjskiej, czoło jego opromieniały już myśli wielkie i piękne. *Nędzarz z płonącą w piersi wielką ideą,* to podmiot i główny żywioł rewolucji. Myśmy ten żywioł starali się zorganizować i zrobić z niego wielką siłę rozwoju i postępu.

Wielki ciężar gatunkowy talentu Ignacego Daszyńskiego zaważył na szali, że w Galicji, tak ubogiej w środowiska przemysłowe (robotnicy stanowili zaledwie 8% ludności) socjalistyczny ruch robotniczy stał się tak doniosłym czynnikiem w kształtowaniu sie polskiej myśli politycznej, że skupiał koło siebie wszystkie siły twórcze i stał się ośrodkiem działania wszelkiego postępu i walki. Z klas ahistorycznych wydobył drzemiące tam siły i sprzągł je z rwącem się do nowego życia ówczesnem młodem pokoleniem. Tętniące bujnem życiem ideowem uczelnie akademików były żywym odgłosem ruchów społecznych, jakie nurtowały już w kraju.

Nic dziwnego, że w takiej płaszczyźnie ideowej utrzymany ruch robotniczy szybko przełamał zaborcze kordony dla zespolenia do jednego celu zmierzających wysiłków, że Galicja stała się bazą operacyjną dla wodzów rewolucyjnych pod caratem, że Galicja stała się terenem przygotowawczym dla wspólnej organizacji wojskowej, że wyzwoleńcza myśl polityczna nie spoczęła w czasie wojny światowej i czekała pierwszej nadarzającej się sposobności, aby się urzeczywistnić w postaci rządu ludowego.

Ta pionierska praca Ignacego Daszyńskiego, która stworzyła nowe warunki życia politycznego i intelektualnego, a która była treścią jego życia, stała sie podwaliną wszystkich działań późniejszych. Ona z bezkształtnej bryły wykuła człowieka nowego, rozumiejącego wielkie ideały i gotowego dla nich poświęcić bardzo wiele. Wszystko, co nastąpiło później, czy to czasu wojny światowej, czy w okresie powstawania i budowania państwa polskiego, było już tylko operowaniem tym żelaznym kapitałem moralnym i ideowym, gromadzonym pracowicie wśród, zdawałoby się, nie dających się przełamać przeszkód. Czy to w okresie, kiedy budowało się zręby demokratycznej państwowości polskiej, czy kiedy trzeba było obecnością Daszyńskiego w rządzie obrony narodowej stanąć na szańcu zagrożonej niepodległości, czy też w nieszczęsnym okresie pomajowym na stanowisku marszałka sejmu bronić opuszczonego posterunku wolnościowego ustroju państwa.

Przebiegając myślą pięćdziesięciolecie działalności i walki Ignacego Daszyńskiego, rysuje się nam postać wielka, o szerokich horyzontach, postać ciosana z granitowej skały. Bo takim był Daszyński w młodości, wypędzony z przesiąkniętej służalczością austrjacką i klerykalną szkoły, takim, ścigany przez żandarmów, policję, prokuratorów, sądy i wszelkich najmitów panującej szlachetczyzny, takim, jako parlamentarzysta i dziennikarz, kiedy zdzierał maski zakłamania i obłudy ze świętoszkowatych postaci „ojców narodu", takim też stał na czele walczącego proletarjatu o ludzkie dlań warunki życia i takim był, gdy proletarjat wprzągał w obowiązki służby publicznej. Daszyński zawsze naczele, zawsze na najbardziej wysuniętej placówce, wszędzie tak długo, jak tego wymagało dobro publiczne.

I chociaż bilans tego bogatego w treść życia w godzinie śmierci został powszechnie uznany, Daszyński nigdy nie sięgał po zaszczyty, nie została jego pierś ozdobiona orderami. Nigdy nikt nie słyszał, aby nie sam Daszyński, ale bodaj ktoś z politycznych przyjaciół twierdził, że w wolnej Polsce coś mu sie należy. Gdy współcześnie tylu wyciągnęło rękę do Polski po zapłate za... nieprzelaną przeważnie krew, Daszyński odszedł w glorji bezinteresowności w służbie społecznej i publicznej.

Odszedł z areny życia politycznego Polski, tak jak do niego wchodził, ciężko zarabiając na życie. Odszedł, zostawiając skupionym wokół jego mogiły przebogaty spadek ideowy w wielkich rezultatach swojej pracy, któremi hojnie obdzielił polski i międzynarodowy ruch robotniczy, odszedł, pozostawiając wielki przykład swego życia do naśladowania przez potomnych.

Zostawił w testamencie *nakaz* kontynuowania walki o społeczne wyzwolenie mas pracujących i o wolność człowieka.

Trumnę Ignacego Daszyńskiego okryto czerwonym sztandarem, na znak, że walka w niepodległej Polsce nie jest jeszcze skończona.

TADEUSZ PEIPER

BEZROBOTNY

I, i, no i, zaraz, ta ręka, te oczy,
ta ręka co się odblaskami stołów tuczy,
te oczy: raz prośby, raz klątwy, raz ryki,
to wcieranie łopatek w marynarkę,
to czekanie na chwilę, która do szeptu się nada,
ten chód po równi jakgdyby pod górę,
te nogi: dwa pofałdowane drągi,
ta ręka, co chwila opadająca do kaszkieta,
te oczy: łzawe śliwy w stal okute,
ta twarz wytrawiona mokrą czerwienią,
ten ruch łopatek, te policzki wytrawione,
ten mięty kaszkiet, ta mokra czerwień,
te oczy z łzawej stali, ta ręka wydeptana,
i zamiast wielu słów tylko jedno: b e z r o b o t n y!

tu wydobytych. Obok królewskich dochodów różnych potentatów naftowych pięćdziesięcioprocentowe, a może i większe, bezrobocie. Obok beztroski, dostatku i przepychu — liczne samobójstwa na tle głodu, kilkakrotne już napady bezrobotnych na wozy piekarskie.

Cmentarz borysławski w ostatnich kilku latach zaludnił się w szybkiem tempie. Więzienia drohobyckie i samborskie — również. Borysław dostarcza im niemałego kontyngentu.

XI

Z gorączki życia borysławskiego nie pozostało prawie śladu. Płynność stosunków i niepewność dnia sprawiły, że istnieje się tu, jakby bez gruntu pod stopami. Kapitaliści w wielkim stylu, dla których Borysław był przez lata i jest jeszcze wciąż transformatorem ropy na dolary, franki i funty — są tam prawie nieobecni, a w każdym razie nieliczni. Niektórzy zdobyli na ropie borysławskiej zawrotne bogactwa, nie widząc nigdy Borysławia na oczy. W Paryżu, Londynie czy Wiedniu żyją nieliczne jednostki, na rzecz których pracowały dziesiątki jeśli nie setki tysięcy ludzi na przestrzeni dziesiątek lat.

Przykutym do miejsca i związanym z jego istnieniem, z jego dolą i niedolą jest proletarjat borysławski. Jakąż wielką drogę przebył od okresu gorączki woskowej! W ciągu lat przekształcił się w świadomy swego znaczenia i wartości społecznej element, zahartował się w rozlicznych walkach, zmężniał i uduchowił się. Swoją postawą, solidarnością, bojowością zajął pozycję awangardy proletarjackiej. Nadługo przed polską ustawą, bo za czasów austrjackich i jedyny zresztą na terenie Austrji, wywalczył sobie ośmiogodzinny dzień pracy. Teraz, od lat, również warunki pracy i płacy zdołał oprzeć na umowie zbiorowej, obowiązującej na terenie całego przemysłu naftowego w kraju.

Proletarjat borysławski — jako poważna i zorganizowana siła — nadaje Borysławowi znamię wielkiego ośrodka robotniczego. Skala jego zainteresowań sięga coraz szerzej i głębiej. W ostatnich latach usiłuje również wywrzeć wpływ na gospodarkę miasta i jego oblicze. Kapitaliści nie zaniedbali bowiem niczego, by wydobyć z Borysławia maximum możliwości, nie dokonali jednak niczego dla zmiany warunków życia i wyglądu Zagłębia. Bogactwo odpłynęło — nędza pozostała. Trzeba teraz wielkich i licznych wysiłków, by dotychczasowy poziom życia borysławskiego przebudować i zbliżyć go ku nowoczesności. Symbolem tych dążeń jest budujący się od kilku lat „Dom Robotniczy", który ma być jednym z najwspanialszych gmachów robotniczych w Polsce. Dom ten ma się stać twierdzą ruchu robotniczego, potężnym ośrodkiem nietylko życia zawodowego, ale i kulturalno-oświatowego.

XII

Dawny okres świetności Borysławia — jako ośrodka naftowego — mija bezpowrotnie. Gorączka przeszła, puls słabnie z każdym rokiem, pozostała tylko newroza, pobudzona szalonem tempem rozwoju. Jeszcze jeden czy drugi podryg, jeszcze pięć czy dziesięć kopalń, ale: co było — minęło. Borysław wypompowuje się. Może to jeszcze długo potrwać, ale złoty okres dawno już przeminął.

Mija również błoto borysławskie. Coraz mniej ropy i coraz mniej... błota. Ścisła współzależność ciągle zachowana — i to w stosunku wprost proporcjonalnym.

Metropolja polskiego przemysłu naftowego, licząca dziś ponad czterdzieści tysięcy mieszkańców, może się kiedyś stać największą wsią w Polsce...

Adam Czerwiński

JEAN PAUL MARAT

O ROZBIORZE POLSKI

27-letni lekarz Jean-Paul Marat; późniejszy wódz, trybun i teoretyk Wielkiej Rewolucji Francuskiej, klasyk pamfletu, pierwszorzędny i jeden z pierwszych dziennikarzy, przybywa w roku 1770 do Anglji, gdzie pisze swą pierwszą pracę, powieść w listach p. t. „Un roman de coeur-Lettres polonaises". Jest to jeszcze słaba próba literacka, zawierająca szereg uwag o współczesnych młodemu Maratowi wydarzeniach.

Rękopis odnaleziono w r. 1847, przypadkowo, podczas rewizji policji Ludwika-Filipa w mieszkaniu młodego republikanina, który otrzymał go od siostry Marata, Albertyny. Książkę opublikowano w roku 1848, t. j. 78 lat po napisaniu.

Podajemy za opracowaniem C. Friedlanda poraz pierwszy po polsku wyjątek z „Listu LII do Gustawa Zygmunta". Jest to jakgdyby djalog dwóch podróżnych, którzy przypadkowo spotkali się na drodze; jeden (Ja) jest Polakiem, drugi zaś (On) — Francuzem.

* * *

Ja: Ciekaw jestem pańskiego zdania o sytuacji nieszczęśliwej Polski.

Spostrzegł pan, że nie jesteśmy panami swego kraju. Trzy mocarstwa wmieszały się w nasze spory: jedno z nich w ciągu kilku lat napróżno zalewa nasz kraj swemi wojskami poto, by go spacyfikować; dwa inne wkroczyły do naszych prowincyj, by zmusić nas do zgody.

On: Zginęliście, być może, bezpowrotnie; ale i jakie nieszczęścia was nie dosięgną, zasłużyliście sobie w zupełności na nie.

Ja: W imię Boga, niech pan wyjaśni, nie rozumiem pańskich słów.

On: W stanie anarchji, w jakim trwacie obecnie, jakże nie macie stać się ofiarą wzajemnych swarów lub łupem waszych sąsiadów?

Posiadacie rząd najgorszy ze wszystkich istniejących. Pominę to, co w nim jest oburzające. Jeśli nie wyzrekł się pan zdrowego rozsądku, zrozumie pan razem ze mną okrutność tego, że praca, nędza i głód są udziałem większości zaś dostatek i używanie — znikomej mniejszości.

Zrozumie pan również potworność praw, które dla garstki prywatnych osób pozbawiają tyle miljonów ludzi naturalnego prawa wolności. Pomijam już tę hańbiącą stronę waszej konstytucji, żeby rozpatrzeć tylko jej słabostki.

Gdy państwo prowadzi zdrową politykę, siłę jego stanowi położenie kraju, bogactwa jego gleby i liczebność ludności, składającej się z wolnych ludzi.

Przyroda dość obficie was obdarzyła, ale ponieważ przytłaczająca część waszego narodu pozbawiona jest tych drogocennych skarbów, jakie daje wolność — wszystkie inne bogactwa stają się bezużyteczne.

W Polsce są tylko tyrani i niewolnicy, dlatego brak ojczyźnie synów dla jej obrony...

Władza najwyższa w Polsce jest słaba, władza obywateli prawie bezsilna, zarówno jedną jak i drugą wykonuje się tylko pod ochroną oręża; bo w Polsce niema właściwie narodu: garstka wpływowych ludzi rozporządza tam wszystkiem, rozstrzyga we wszystkich sprawach, rozkazuje wszystkim, wszystko niszczy, wszystkiem poniewiera i pomiata. Oni dysponują koroną i całym narodem, oni też tworzą prawa. A tworząc je, nie podlegają im sami, lecz czelnie i bezkarnie je niszczą, nawet zbroją się przeciw wymiarowi sprawiedliwości i wyrywają z jego rąk miecz.

W taki to sposób, pod srogiem jarzmem władców, państwo zostało pozbawione synów, ziemia — rolników, miasta ogołocono z rzemiosła i handlu, państwo zaś z bogactw; większość narodu — to godny politowania tłum niewolników, skazany na nędzny trud; należałoby się ich obawiać, gdyby nie to, że przywykli do kajdan.

Jeśli w Polsce naród nic nie stanowi — gdzież tkwi siła społeczeństwa? Czy stanowią ją ci, co naród ciemiężyli? Weźmy dla przykładu następujący wypadek: przypuśćmy, że ciemiężcy zespolili się wraz z wasalami; otrzymacie w rezultacie siłę kawaleryjską, dorównywającą korpusowi, i mężność — bez sztuki wojennej; oto armja, złożona z lekkich oddziałów, nadających się do potyczek, lecz niezdolnych do utrzymania pozycji w walce z wojskami regularnemi*).

Lecz ci drobni tyrani są dalecy od połączenia się; istnieją między nimi wciąż swary i różnice zdań. W taki to sposób, uzbrojonych jeden przeciw drugiemu, czyż nie będą was lekceważyć nazewnątrz, w takiej mierze, w jakiej jesteście niebezpieczni nawewnątrz?

Ale, Bogu dzięki, nadchodzi kres waszego panowania. Zbliża się chwila, gdy skolei otrzymacie monarchów, który pozbawią was waszych przywilejów; znienawidzony pomnik waszego panowania ku hańbie ludzkiej przestanie istnieć dłużej nie będziecie wytępiać brat brata. Lud zaś wokół was poczuje ulgę w znoszeniu jarzma.

Ja: Ależ panie, cóż to pan opowiada! Czyżby sądził pan, że lekceważąc międzynarodowe prawo, sprawiedliwość i sumienność, nasi arbitrowie zechcą zostać uzurpatorami? Przeciwnie, wierzę, iż dzięki ich pośrednictwu osiągniemy wkrótce kres naszych cierpień...

On: Jakże szybko rozwieją się wasze nadzieje! Mocarstwa, które z bronią w ręku weszły do waszego zrujnowanego kraju, pod pozorem odbudowania w nim pokoju, pragną go tylko zająć, zawładnąć nim, a wam przynieść niewolę. Gdyby naprawdę nic nie zamierzali przeciw wolności Polski, gdyby szczerze pragnęli pogodzenia was, jenerałowie ich nie wysilaliby się tak, by opanować wszystkie wasze fortyfikacje, przeprawy i przełęcze; zdobycie ich umożliwi im dostęp do serca kraju; bezbronny zaś kraj wydadzą na łup. Rozpoczęliby od tego, że zmusiliby Rosję i jej sojuszników do zaprzestania wojennych działań i nie zwlekaliby tak długo z zawarciem umów dla utrwalenia silnego pokoju. Wrychle przekonacie się, że są oni władcami, nasłanymi przez zagranicznych bogów dla poskromienia was.

Ja: Jest pan wobec nich niesprawiedliwy; nie, nigdy nie uwierzę, by mogli tak niesumiennie zlekceważyć zasady honoru...

On: Honor! Ach, potrafi pan mnie tylko rozśmieszyć! Hola! Czy wiedzą coś o honorze władcy, w każdym razie, czy wielu z nich zna go? Ich potężna sztuka polega na tem, że oszukują i zwodzą. Im więcej mówią o swych dobroczynnych zamiarach, tem mniej należy im dawać wiary... Ale poczekajmy na bieg wydarzeń, wykażmy nieco cierpliwości, a wnet przekonamy się, kto z nas dwóch omylił się.

Ja: Zgoda.

On: Choć nie jestem prorokiem, mogę jednak zgóry przewidzieć bieg wypadków. Gdy przekonają się, iż niezdolni już jesteście do oporu, a wojska ich umocnią się w tych połaciach kraju, które pragną zagarnąć, nagle zrzucą ze siebie maskę. Ale nie chcąc wzburzyć przeciw sobie umysłów, postarają się przykryć swą samowolę pięknemi pozorami. Dla oszukania tępego tłumu zaczną wydawać manifesty, odkopywać prochy przodków, zaczną grzebać się w starodawnych umowach, ożywiać wątpliwe prawa. A wkońcu tego wszystkiego okaże się, że prowincje te należą do nich, a wy panowaliście tam na podstawie niewiadomo jakich praw.

Ja: Zaprawdę, byłoby to zabawne.

On: Nie należy oczekiwać, że po ujarzmieniu tych prowincyj będą usiłowali odbudować pokój tam, gdzie wasze panowanie jeszcze pozostanie, nawet wtedy, gdyby was doszczętnie nie zrujnowali. Są bowiem zadowoleni, gdy widzą wśród was źródła niesnasek i przyczyny anarchji, która istnieje w waszym rządzie. Pozostawią wam to wszystko: być może, będą jeszcze potajemnie usiłowali je pomnożyć, aby zachować pozory do powrotu, gdy tylko będą mieli ku temu ochotę.

Jedyny sposób przywrócenia wam pokoju — to uczynienie was bogatymi, potężnymi i szczęśliwymi. Ale gdyby nawet i ten sposób działania znajdował się w ich arsenale — sprzeciwiałby się ich interesom.

Ja: Chciałbym dowiedzieć się, jak osiągnąć tak wspaniały cel?

On: Dążenie do tego, żeby usunąć między wami wszelkie przeciwieństwa, zetrzeć wszystkie krzywdy, zagłuszyć wszelki brak zaufania i drobnemi sztuczkami zadowolić wszystkie partje — to tylko głupota i niezaradność. Zło zakorzeniło się głęboko i środek przeciw niemu powinien być bardzo silny.

Trzeba podciąć sam korzeń. Należy wskazać narodowi jego prawa i skłonić go, by zażądał powrotu do nich. Należy mu dać do ręki broń, poskromić w całem królestwie drobnych tyranów, którzy naród uciskają, obalić potworny gmach waszego rządu, stworzyć nowy na zasadach sprawiedliwości, tak, by wszystkie jego części dopełniały się nawzajem prawidłowo.

Oto jedyny sposób, by wewnątrz tej cudnej krainy utrwalić pokój, jedność, wolność, dostatek zamiast waśni, niewolnictwa i głodu, które kraj gubią.

Ja: Zaprawdę, środek to nader radykalny.

On: Rzecz jasna, mocarze świata, sądząc, że reszta świata istnieje poto, by służyć ich dobrobytowi, nie pochwalą tego środka — ale nie trzeba się ich pytać, należy wynagrodzić cały naród za niesprawiedliwość jego ciemiężycieli.

* * *

Tyle Marat o Polsce w swym pierwszym utworze, zapomnianym i niedocenionym przez jego biografów. Wypadnie nam jeszcze wrócić do późniejszych listów, artykułów i sądów Marata, poświęconych sprawie Polski.

Marata w Polsce nie znają. A poznać go należy. Friedland słusznie go ocenia, jako „teoretyka plebejskich mas w epoce manufakturowego etapu rozwoju gospodarki: nie szedł zresztą dalej, aniżeli drobnomieszczańska krytyka kapitalizmu", zaś Jaures w swej historji rewolucji francuskiej, pisząc niesłusznie o tem, że „wielki i genjalny jest Babeuf wobec Marata", spieszy zaznaczyć: „Nie można pisać historji proletarjatu, zrozumieć jego pierwszych kroków, dojrzeć brzasku jego myśli — zapoznając poglądy Marata, pomimo, że wydają się one nam pod wielu względami dziecinnemi. Właśnie ten niemowlęcy ich charakter nadaje im rzeczywiste znaczenie historyczne".

Przełożył i uwagi zebrał **Jerzy Boreisza**

*) Oto jak młody Marat oceniał kwestję obrony Polski. Ciekawe będzie porównanie tych poglądów z przemówieniem, jakie Marat wygłosił 18 lat później w sprawie nowej ustawy wojskowej (cytuję za Jauresem):

„Gdzież jest ojczyzna tych ludzi, co nie posiadają żadnej własności, dla których niema dostępu do żadnego stanowiska, którzy nie czerpią żadnych zysków z umowy społecznej? Będąc zawsze zmuszeni służyć, są w niewoli, jeśli nie u jednego pana, to u swych współobywateli! Dolą ich jest zawsze niewola, nędza i ucisk. Jakież-bo mogą być obowiązki wobec państwa, które jedynie utrzymuje ich w nędzy i niewoli? Mogą je tylko nienawidzieć i przeklinać! Ratujcie więc takie państwo, wy, którym ono zapewnia szczęśliwą i spokojną dolę. Ale wara wam z waszemi żądaniami od nas. Wystarczy, że los nieszczęsny skazał nas na to, byśmy współżyli z wami."

„Przyjaciel ludu" nieraz jeszcze uzasadniał swe stanowisko, że skuteczna obrona ojczyzny wiąże się bezpośrednio ze sprawą demokracji i wolności narodu.

ANNA KOWALSKA

GRAZIA DELEDDA

Dzieło i człowiek monolityczne i monotonne. Pierwszą powieść „Anime oneste" wydaje w swoim dwudziestym pierwszym roku życia (ur. 1875) i odtąd przez dalszych czterdzieści lat pracuje wiele, regularnie, nocami. Pisze powieści, nowele, dramaty. Razem czterdzieści tomów. Powieść jej „Annalena Bilsini", z życia wsi nadpadańskiej, w 1927 r. odznaczono nagrodą Nobla.

Nic prawie nie dowiadujemy się z tych wielu książek o autorce i prawdę mówiąc nie jesteśmy jej ciekawi; nawet powieści traktujące o jej przeżyciach są tak przestudzone, uproszczone, że nic nie pozostaje z tajemnicy. Przeciwnie zaś u pisarzy lirycznych, traktujących o sobie (Gide, Larbaud, Butler, Mansfield): powierzone sekrety odradzają się nanowo z coraz większych głębi; w miarę poznawania, stajemy się bardziej ciekawi ich samych i odrzucamy niecierpliwie fabułę choćby najbardziej dramatycznie zbudowaną, aby ich odnaleźć i śledzić z zatroskanem uczuciem niemej przyjaźni.

We wstępie do „Nostalgie" (1905 r.) Grazia Deledda urażona recenzjami, porównywa krytyków do urzędu skarbowego, który zawsze oszacowuje nasze kapitały na większą sumę, niż ja w rzeczywistości posiadamy. Kapitały Grazii Deleddy to logiczna budowa powieści, mocne narysowanie postaci, znajomość materji i przyjemna kadencja języka, dość zresztą lokalnego. Wielka praca, włożona w dzieła, przyczynia się do tego, że o ile pierwsze 50 stronic czyta się z pewną obojętnością, następnie jest się pociągniętym przez intrygę, prostą ale mocno uchwyconą i przez postaci pełne wigoru, chociaż uproszczone. Piętnaście tomów Grazia Deledda poświęciła opisom życia górali i pasterzy sardyńskich; mimo słonecznych krajobrazów, tchnienia fontann w upały, vendetty, mimo sardyńskich pieśni religijnych, jeśli się szuka pokrewnej atmosfery, przypominają one raczej dzieła literatury północnej, aniżeli literatury włoskiej, mało zresztą zasobnej w powieści.

Najlepsze z książek Grazii Deleddy oprócz „Annalena Bilsini" są: „Elias Portolu", „Cenere" („Popiół"), „Canne al vento" („Trzcina na wietrze"), mało wyróżniana „Fuga in Egitto" („Ucieczka do Egiptu"), bardzo żywa w narracji, w której stary człowiek, jeden z rzadkich bohaterów, którzy obserwują, odgrywa niewdzięczną rolę świętego Józefa i wzrusza pobłażliwą, wielewiedzącą miłością.

Namiętności ogromnej siły, niepowściągane liczeniem się z interesem, ani nie ograniczane etyką społeczną czy religijną są częstym motywem powieści Grazii Deleddy. Bohaterowie nie zmieniają się i natura koło nich się nie zmienia. O zabójcach i złodziejach rodzina wspomina od niechcenia jako o *seccatura* (udręczenie, dokuczliwość, nuda). Zia Bisaccia w „Il vecchio della montagna" mówi o swoich trzech synach, siedzących w więzieniu za kradzieże, że są na służbie króla. Nie przejmuje się byle czem, „mierzy mleko tak ostrożnie jakby to była krew", skąpa, zła. Jej mąż pasterz, tylko co trzy miesiące wraca do domu z pastwisk, ze strachu przed nią.

Realistyczne opisy ludzi, przyrody, powolny bieg wydarzeń, dla których istnieje tylko czas teraźniejszy, djalogi, które ani nie wyjaśniają czegoś niedopowiedzianego z materji introdukcyjnej ani nie decydują o wydarzeniach, ale zastępują opis, pozbawione są niecierpliwości myślenia, liryzmu, transfiguracji.

Wielu pisarzy chwali męski, jasny styl Grazii Deleddy, którym zachwycał się Carducci. Przymiotnik „męski" łatwo przychodzi na myśl, gdy czytamy realistyczne opisy, logiczny splot. Jest to tylko naturalna reakcja na przymiotnik „kobiecy", który zwykle zastępuje przymiotniki: niewyraźny, sentymentalny, poetyzujący, subjektywny. Ale właśnie ten „męski realizm" więzi pióro Grazii Deleddy, jak i wielu innych pisarek i nie pozwala im na przeobrażenie realizmu i języka.

WŁODZIMIERZ JAMPOLSKI

NA SZACHOWNICY CZASU

Aldous Huxley: Eyeless in Gaza. London 1936

Aldous Huxley jest pisarzem o bardzo wyrobionym, indywidualnym tonie, rytmie, smaku. Przystępując do lektury najnowszej jego powieści o „Ślepcu w Gazie" oblizujemy się, zgóry przepraszając za użycie niewytwornego porównania w stosunku do pisarza subtelnego, intelektualistycznego i pełnego odcieni. Postaci Huxleya nie są bowiem z ciężkiego, czerwonego mięsa, nie stąpają głośno i nie atakują nas natarczywie swojemi poglądami i sympatjami. Postaci te są lekkie, przewiewne, utkane z jasnej i przeźroczystej substancji intelektu, wyrozumiałości i smutnego półuśmiechu. Są to intelektualiści przedewszystkiem, na których tle ludzie czynu — jak ów wódz faszystowski z „Ostrza na ostrze" — bawią i rażą swoim bezceremonjalnym, naiwnym impetem.

Fala ludzka tej produkcji pisarskiej wyrosła w zbyt ogrzanej atmosferze cieplarni, która hodując intelekt i delikatność, podcina równocześnie instynkty życiowe i wolę, wydaje na świat pokolenie krytyczne, skomplikowane, pełne zahamowań, słynących raczej z braku żywych impulsów, niż z nadmiaru dobroci.

W centrum wszystkiego znajduje się normalnie jakiś konterfekt autora — formalistów młodych i starych przepraszam za psychologizowanie, ale nie widzę innej drogi porozumienia się i odmalowania wrażeń, a zresztą trudno wpatrywać się ustawicznie we własną czy cudza metodę, bo w takim wypadku lada pisarz magistracki mógłby zajmować się krytyką literacką — znajduje się tedy pisarz czy autor powieści, jak Filip Quarles z „Ostrza na ostrze", czy też socjolog, jak Antoni Beavis ze „Ślepca". Obaj, narówni z centralnemi postaciami w innych utworach, jakby stracili wspólny grunt z innymi żywymi ludźmi, zagubili wspólny język z nimi a przedewszystkiem prostą wymowę uczuć ludzkich, tak że wkońcu zadają sobie pytanie, czy aby żyją naprawdę, czy nie są jedynie fikcjami? Nieświadomość, brutalność, wszelki prymitywizm zostały wygnane daleko z tego gmachu o wiotkich kształtach i delikatnych barwach. Ci ludzie zdają się cierpieć na bezsenność, gdyż łagodne, cierpliwe światło spływa ustawicznie z lampy świadomości i autokrytyki.

„Ślepiec w Gazie" jest nowym, bardzo skomplikowanym eksperymentem, rozgrywającym się na szeregu platform, a więc na psychologicznej, na estetycznej i poprostu mówiąc, na ludzkiej.

Czyniąc zadość postulatom formalistów i wysuwając na front to, co się przedewszystkiem rzuca w oczy, weźmy się najpierw do strony estetycznej, technicznej. Wielka rozmiarami nowa powieść Huxleya, licząca 620 stron druku, składa się z rozdziałów, a nad każdym z nich widnieje data — i w tem sęk, oryginalność a potem, gdy wnikniemy w głąb, jeden z uroków całości.

A więc rozdział pierwszy rozgrywa się na Rivierze francuskiej w dniu 30 sierpnia 1933. Postaciami występującemi tutaj są pisarz Antoni Beavis i jego kochanka Helena Levidge. Rozdział II z datą 4 kwietnia 1934 stanowi kartę z pamiętnika Beavisa. III przenosi nas nanowo na Rivierę w dniu 30 sierpnia 1933, natomiast czwarty rozgrywa się w dniu 6 listopada 1902, kiedy to młodziutki uczeń kolegjum Antoni Beavis jechał z ojcem i stryjem na pogrzeb matki. Podobna platanina — pozorna, gdyż kryje się w tem wszystkiem plan — powtarza się w ciągu całej powieści.

Czas jako kategorja powieściowa poddany zostaje eksperymentowi, komplikacjom. W powieściach Walter Scotta, starego Dumasa, Kraszewskiego, Sienkiewicza a nawet Zoli czy Conrada, czas był linją i można było odrysować jego bieg, nie odrywając ołówka od papieru. Dawny pisarz, wprowadziwszy postać, cofał się czasem wstecz, aby opowiedzieć jej przeszłość, a przedstawiwszy ją, wracał do chwili obecnej. Był to jednak proceder prosty, jednokierunkowy, oparty na jednym motywie. Conrad zaczyna swoje powieści w przedostatnim niejako momencie akcji i szerokim, powolnym łukiem nawraca wstecz, przedstawia przeszłość, oświetla duszę, aby nakońcu powrócić do sytuacji wstępnej i zakonkludować bohaterskim, smutnym akordem końcowym. Nawet u Prousta możemy skonstatować taką jednokierunkowość nie akcji, ale snującego się gestem pasmem wspomnień. Natomiast u Gide'a („Fałszerze pieniędzy"), u Pilniaka („Wołga...") a może w ślad za nimi u Choromańskiego („Zazdrość i medycyna") czas jakby sobie uprzykrzył dotychczasową jednotorowość, przestaje być pionkiem na szachownicy, staje się niesystematycznym, wszędobylskim skoczkiem — albo też — jak u Dos Passosa w „Manhattan Transfer" — rozszczepia się na szereg istnień, nie jest już czemś centralnem i zmonopolizowanem, indywidualizuje się, decentralizuje, staje się relatywną własnością postaci, przedmiotem technicznego montażu.

Odnosi się wrażenie, że dawny czas, spokojny, pedantyczny towarzysz i rachmistrz czynów i myśli, nie mógł już nadążyć rytmowi współczesnego życia, rozwojowi techniki, błyskawiczności informacji i tworzącym się na tej podstawie nowym zbiorowym ośrodkom reagowania i działania. Trzeba było widać nowych metod związanych z techniką chwili, metod błyskawicznych, energicznych wielokierunkowych, łączących i świecących nietylko wzdłuż jednej linji ale we wszystkich kierunkach, tak że postaci i momenty akcji przemieniają się z lokalnego przystanku w ruchliwą stację o olbrzymiej ilości torów i platform.

Przeczytawszy „Ślepca w Gazie", narysowałem sobie mapę czasu bardziej rozgałęzioną od tych, które by można wydobyć z „Fałszerzy pieniędzy" Gide'a lub z „Zazdrości i medycyny". Na tej podstawie można skonstatować, że technika operowania czasem w najnowszym utworze Huxleya zasadza się na pięciu zasadniczych wątkach, z których każdy jest chronologicznie uporządkowany i które przetykają się i luzują wzajemnie.

Zamiast więc jednego bohatera Antoniego Beavisa mamy pięciu conajmniej Antonich a jednolita, jak się nam zdawało dawniej, linja życia przecięta została w szeregu punktów, co oczywiście musiało się odbić na prezentacji i szachownicy czasu innych osób.

Przypatrzmy się tym pięciu Antonim. Pierwszy z nich, pisarz, sceptyk i intelektualistyczny sybaryta, żyje w naszych oczach od 30 sierpnia 1933 do 23 lutego 1934, lekceważy i traci Helenę Levidge, aby potem zakochać się w niej nieszczęśliwie, a wreszcie połowicznie ją odzyskać. Jestto okres męski przed „nawróceniem", pendant do Filipa Quarlesa. Wątek drugi, to Antoni dziecko i uczeń w okresie od 6 listopada 1902 do stycznia 1904, od śmierci matki do powtórnego ożenku ojca. Motyw trzeci, to liczne ale krótkie karty z pamiętnika Antoniego po „nawróceniu" na pacyfizm, służbę społeczną, negację estetyzującego indywidualizmu, w duchu jakiegoś buddyjskiego pożądania miłości, potępienia gwałtu i dążenia do zerwania granic jednostkowych. Okres ten obejmuje czas od 4 kwietnia 1934 do 23 lutego 1935. Promotorem tej zmiany wewnętrznej, tego niewiadomo czy trwałego porzucenia ruchomej, przypadkowej podstawy i zyskania obiektywnego środka, jest lekarz dr. Miller, tęgi, dobroduszny poczciwiec, aktywny i wesoły apostoł i przyjaciel świata, nie teoretyk lecz praktyk swojej wiary i dobroci, bliski krewny starego niepozornego Łukasza o niewidocznej aureoli świętego z „Na dnie" Gorkiego. Wątek czwarty, to Antoni student uniwersytetu od 16 czerwca 1912 do 24 lipca 1914 i dzieje krzywdy, wyrządzonej najbliższemu przyjacielowi Brianowi Foxe, szlachetnemu, pełnemu skrupułów purytaninowi, któremu Antoni ze słabości, z próżności, dla zabawy zabiera narzeczoną i staje się przyczyną samobójstwa przyjaciela. Wątek piąty, to dzieje partnerów a przedewszystkiem dwu kochanek Antoniego, Marji i Heleny Amberley, matki i córki, z których ostatnia wychodzi później nieszczęśliwie zamąż za komicznego i bezradnego intelektualistę, kustosza muzeum Hugona Levidge. (Czas od 8 grudnia 1926 do 14 kwietnia 1928).

Ta szachownica czasu jest nielada majstersztykiem estetycznym i psychologicznym. Przekorny pisarz jakby postawił sobie za cel utrzymać w napręźeniu czytelnika, tworząc zupełnie nowe, sprzeczne z dotychczasowemi metody napięcia uwagi. Ciekawość, która dotąd zadawała pytanie: „Co dalej?" subtelnieje, przerzuca się na inne tereny, pyta: „Kto to?", „Dlaczego?", stara się wypełnić odkrywaną kapryśnie a systematycznie mapę akcji, charakterów i ich wzajemnych związków. Pisarz nie może tu polegać na kredycie, który zdobył sobie na stronach poprzednich, nie może operować tem, co poprzednio powiedział. Jest w położeniu szachisty, który nie może sobie pozwolić na moment odprężenia, gdyż gotów przegrać trudną partję. Musi ustawicznie eksponować postaci i momenty, ustawicznie atakować wrażliwość i intelekt czytelnika. Z monotonnej jazdy wzdłuż wygodnego opisu żywota powstaje przerywana, kapryśna, niebezpieczna podróż, posługująca się wszystkiemi nowoczesnemi zdobyczami, kombinująca ze sobą stacje zdawałoby się najdalsze, które w świetle tego nieoczekiwanego zbliżenia zyskują nową plastykę.

Czas rezygnuje ze swoich przywilejów jednoznaczności i zasiedzenia i z naiwnej wiary czytelników w swoje absolutne, obiektywne znaczenie i przebieg. Czas puszcza się na nieznane dotąd w literaturze awantury. W miejsce prymitywnej melodji poczyna odgrywać skomplikowana symfonję o zawiłych linjach i następstwie motywów.

Motyw Briana dźwięczy zrazu cichutko, aby rozśpiewać się, rozszerzyć a pod koniec powieści wyjaśnić istotną swoją dramatyczną treść. W wyższym jeszcze stopniu odnosi się to do motywu doktora Millera, świętego, który swoją aureolę ukrył w tece i nikomu jej nie pokaże. Jest zrazu nazwiskiem, partnerem, schematem, aby potem wypełnić się żywą ludzką treścią, decydującą dla całości. Czas zyskuje tu lotność filmu, fantastyczność snu, artyzm świadomego swej sztuki autora montażu. A równocześnie czas, wzbogacony pod względem artystycznym i psychologicznym, przestaje być czynnikiem wszechwładnym i absolutnym. Zestawia się go z albumem dowolnie uszeregowanych fotografij, z igraszkami kapryśnej pamięci. Dłoń przeszłości zaciążyła nad każdym wypadkiem i postacią już w momencie pierwszego poznania. Po zawiłych drogach, mórz i przypadków zbliżają się do siebie i oddalają okręty losów ludzkich, dźwigające treść różną, niejednako załadowane i obciążone, światy odrębne, idące własnemi drogami.

Trudna walka o nową treść i formę wydana została na wybranym dobrowolnie, najtrudniejszym terenie. Czas ze starego biurokraty stał się głównym, decydującym aktorem. Charaktery i losy, rozbite na sceny, momenty i części, zwiększyły swoje bogactwo, pogłębiły treść i nie straciły istotnej swojej jednolitości. A pisarz wydał walkę melancholijnemu, świecącemu ustawicznie światłu własnego intelektu i postanowił zdobyć sobie nowy port we własnem wnętrzu, pogrążyć się w ciszę i ciemność, aby znaleźć się bliżej centralnego punktu, w którym przecząwa dziś światło, niewidoczne dla świata i ludzi na powierzchni.

CZESŁAW MIŁOSZ

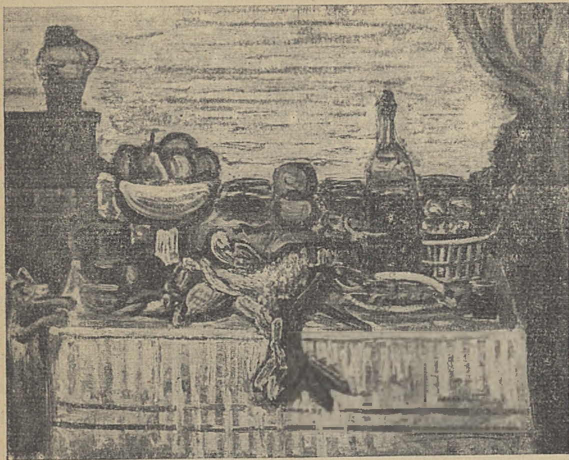
POWOLNA RZEKA

Tak pięknej wiosny, jak ta, już oddawna
nie było. Trawa, tuż przed sianokosem
bujna i rosy pełna. W nocy granie
słychać z brzegu moczarów, różowa ławica
leży na wschodzie aż do godzin rana.
O takiej porze każdy głos nam będzie
krzykiem tryumfu. Chwała, ból i chwała
trawie i chmurom, zielonej dębinie,
rozdarte wrota ziemi, odkryty klucz ziemi.
gwiazda już wita dzień. Więc czemu twoje
oczy zamknęły w sobie blask nieczysty,
jak oczy stworzeń, które nie zaznały
zła, i za zbrodnią tylko tęsknią? Czemu
przez powieki zmrużone prześwieca gorąca
toń nienawiści? Tobie panowanie,
tobie obłoki w złoconych pierścionkach
grają, na drogach sława szepczą klony,
od każdej żywej istoty przebiega
do twoich dłoni niewidzialna uzda,
targniesz — i wszystko zakręca w półkole
pod baldachimem chmur, nazwanym pyrrus.
A prace jakie są? O, ciebie czeka
jodłowa góra, na niej tylko zarys
wielkich budowli, dolina, gdzie zboże
wzrosnąć powinno, stół i biała karta,
na której może poemat powstanie,
radość i trud. A droga umyka
spod nóg tak szybko, ślad biały się smuży,
że ledwo wzrok wypowie powitanie,
już słabnie uścisk rąk, westchnienie, już po burzy.
I niosa wtedy polem okrutnika,
siwy kołysza włos, w alei u wybrzeży
składają, gdzie chorągwie zwija wiatr zatoki,
kędy po żwirach biegną szkolnych gromad kroki
z pieśnią wesołą.

— Aby w świątecznych ogrodach rżąc na murawach pili,
aby, nie wiedząc kiedy strudzeni, kiedy szcześliwi,
chleb brali z rąk ciężarnych swoich żon,
przed żadnym znakiem głowy nie ugięli
bracia moi, rozkoszy spragnieni, weseli,
ze świata mając spichrz, radości dom.

— Ach, ciemna tłuszcza na zielonej runi,
a krematorja niby białe skały
i dym wycieka z gniazd nieżywych os.
Bełkot mandolin ślad wielkości tłumi,
na gruzach jadła, nad mech spopielały,
nowego żniwa wschód, kurzawa kos!

Tak pięknej wiosny, jak ta, już oddawna
nie miał podróżny świata. Krwią cykuty
wód przestrzeń mu się wydała rozległa,
a flota żagli, która w mroku biegła
ostatniem drgnieniem jakiejś czystej nuty.
Widział na piaskach rzucone postacie,
pod światłem planet, lecących ze stropu.
A kiedy milkła fala, cicho było,
z piany szedł zapach jodu? heliotropu?
Na wydmach Marja, śpiewali, Maryja,
rękę zbroczoną składając na siodło.
Nie wiedział, czy to jest to nowe godło,
które ma zbawiać, chociaż dziś zabija.
Potrzykroć winno się obrócić koło
ludzkich zaślepień, zanim ja bez lęku
spojrzę na władzę, śpiącą w mojem ręku,
na wiosnę, niebo i morza i ziemie.
Potrzykroć muszą zwyciężyć kłamliwi
zanim się prawda ludziom nie ożywi,
i staną w blasku jakiejś jednej chwili
wiosna i niebo i morza i ziemie.



Martwa natura z zającem (olej)
ZYGMUNT WALISZEWSKI

HENRYK GOTLIB

ZYGMUNT WALISZEWSKI

Dnia 7 października b. r. zmarł w Krakowie Zygmunt Waliszewski.

Urodzony w r. 1897 w Tyflisie, od lat młodzieńczych wciągnięty był Waliszewski w bojowy ruch artystyczny, który ogarnął Rosję tuż przed wojną światową. W latach tych, jako młody uczeń akademji w Tyflisie, stykał się na gruncie towarzyskim z rosyjskimi futurystami i brał czynny udział w realizowaniu zaawansowanych idei artystycznych w teatrze i na ulicy kaukaskiego miasta, projektując i wykonując dekoracje i plakaty.

Ale obok tego ulegania ogólnemu prądowi już na wstępie swego życia artystycznego, spotkał się Waliszewski z osobliwą figurą Niko Pirosmanaszwili, kaukaskiego dyletanta-samouka, który wśród hałaśliwej dekoratywności ówczesnych futurystów i egzaltacji ekspresjonistów, malował swoje obrazki i kompozycje spokojne, nieudolne w rysunku, ale przekonywające i pociągające prostotą i wizjonerstwem. Dziwna postać Niki Pirosmanaszwili, którego obrazy — dziś w Rosji już znane i nielekceważone — w nastroju i wyglądzie przypominają żywo francuskiego celnika Henri Rousseau, oddziaływała niezwykle sugestywnie na Waliszewskiego i działać nie przestała w ciągu całego jego życia.



Uczta (olej)
ZYGMUNT WALISZEWSKI

Przyjazd do Krakowa (około 19 0 r.) wprowadził Waliszewskiego w środowisko niemniej żywe niż jego środowisko kaukaskie. Były to czasy „formizmu“, który skupił wówczas w Krakowie najaktywniejszych artystycznie i najodważniejszych malarzy, rzeźbiarzy i poetów, a który przeciwstawiał się nietylko wszechwładnej podówczas „Sztuce“ i epigonom „Młodej Polski“, lecz w entuzjaźmie dla współczesności marzył o przekreśleniu wszystkiego, co było dotąd w sztuce zrobione. W tej atmosferze dojrzewali młodzi uczniowie krakowskiej akademji, w ich gronie Waliszewski. W czasie malowania „Gałki muszkatułowej“, która była pewnego rodzaju klubem formistów, Waliszewski wraz z Jaremą i Cybisem brał czynny udział w uzupełnianiu dekoracji ścian bojowego klubu. Przyciągnięty do formistów ich żywotnością i aktywnością, nie stał się jednak Waliszewski nigdy formistą tak jak nie stał się w Tyflisie futurystą. Równocześnie ze swemi pracami dekoracyjnemi w „Gałce muszkatułowej“ i ze studjami w krakowskiej akademji, malował Waliszewski „Chrystusa na krzyżu“, obrazki „z życia mrówek“ i kompozycje w stylu teatralnego jakgdyby prymitywizmu. Tak więc środowisko krakowskie było dla Waliszewskiego dalszym niejako etapem kąpieli futurystyczno-kubistyczno-ekspresjonistycznej, której używał doniedawna w rodzinnym Tyflisie, a z której wyszedł, zarówno tam jak i tu, nienaruszony we własnym swoim instykcie plastycznym.

Ale czasy krakowskie niebawem się skończyły. Fizjognomje „formistów“ zaczęły się coraz bardziej różnicować i w rezultacie rozpoczęło się rozprzęganie grupy już w początkach r. 1923. Waliszewski, Czapski, Jarema, Cybis, Rudzka-Cybisowa, a potem Potworowski, Nacht, Strzałecki i paru innych, poczęli po kątach szeptać i snuć plany wyjazdu zagranicę. Jesienią 1924 r. zamiary te zostały zrealizowane i Waliszewski, zgodnie z planem „Komitetu Paryskiego“ (w skrócie: K. P. — stąd „Kapiści“) znalazł się pewnego wieczora z garstką przyjaciół dookoła okrągłego stolika w „café de la Rotonde“ przy bulwarze Montparnasse.

W centrum paryskiej dzielnicy artystów wrzało wówczas jak w halach fabryki pracującej na trzy zmiany. Paryż zbliżał się do szczytowego punktu artystycznej *prosperity*. Był to okres pogoni za najwyższym wysiłkiem, za pokazaniem za wszelką cenę własnej, odrębnej fizjognomji artystycznej.

Przeminął już coprawda czas pierwszej ofenzywy „izmów“, grupowych wystąpień i „ogólnie-obowiązujących“ teoryj, mimoto w pierwszych szeregach awangardy szli ludzie o twarzach nowych i z nowatorskiemi ambicjami. Kontynuatorów impresjonizmu, zakrzyczanych przez „fauvistów“, malarzy tej miary co Bonnard i Vouillard nie lekceważono wprawdzie w kołach wybrednych francuskich kolekcjonerów i artystów, ale ruchliwość marchandów, anglosaskich zbieraczy i międzynarodowej rzeszy artystów, przebywających w stolicy Francji, wywoływała złudzenie, że po zerwaniu wszystkich tradycyj i ciągłości w rozwoju form plastycznych, od inteligentnych i pomysłowych koncepcyj Piccassa, Matissa i Deraina rozpoczyna się nanowo historja sztuki europejskiej; że wszytko, co ma związek z impresjonizmem, ze sztuką holenderską lub z renesansem urwało się i skończyło doszczętnie.

Wśród tego chaosu założeń i temperamentów, wśród pokus powodzenia i wybicia się, trzymała się razem grupka polskich malarzy, przybyłych z Krakowa, pracując i dyskutując między sobą i z profesorem Pankiewiczem, który od szeregu już lat stale przebywał w Paryżu. Wśród grupy „kapistów“ najodporniejszymi — na bruku paryskim — okazały się nerwy górnoślązaka Jana Cybisa, który z niezachwianą uporczywością apostołował: „dobre malarstwo“, „malarstwo z poziomem“, wyciskając na grupie coraz mocniej piętno swego teoretycznego stanowiska.

Wybujałe temperamenty młodych talentów pod przymusem niejako i ciągłą, wzajemną kontrolą hamowały się i opanowywały w ramach malarskiej wiedzy i dyscypliny. Ambicją i hasłem grupy stało się — w dużym stopniu wbrew nastrojowi Montparnassu i wbrew t. zw. „Ecole de Paris“ — nie malować „ciekawie“, ale „dobrze“, nie pokazywać „cudów“ na płótnie, nie wyżywać się całym swym malarskim temperamentem, ale pozbyć się przywiezionego z kraju balastu wybujałości, opanować rzemiosło tak, jak opanowują je Francuzi: ***umieć i wiedzieć.***

Do ogólnego nastroju z trudem tylko naginał się — już wówczas — Waliszewski. Na pierwszem publicznem wystąpieniu „kapistów“ w Paryżu, na wystawie w „Galerie Zak“ w r. 1929, wyłamywały się z całości przedewszystkiem obrazy Waliszewskiego, który w ciągu paru lat wiele się w Paryżu nauczył, ale nie zrezygnował ze swoich umiłowań do obrazu tego typu, który Francuzi nazywają „image“ (w języku polskim termin „image“ przetłumaczyćby się może dało jako „wizerunek“, jako dzieło sztuki plastycznej, opisujące czy opowiadające o jakiemś zdarzeniu, „przedstawiające“ czło-



Adam Mickiewicz (rysunek)
ZYGMUNT WALISZEWSKI



Chłopcy i martwa natura (olej)
ZYGMUNT WALISZEWSKI

wieka, bitwę czy miasto), do pokazania pracującego przy biurku Balzaka, Napoleona na koniu, generała Klebera czy Zuzannę w kąpieli. Koledzy „kapiści", przyznając Waliszewskiemu duże zalety temperamentu malarskiego, zarzucali mu wówczas otwarcie, że nie może się wyzbyć nuty literackiej i malowania „obrazków".

Niedługo potem nawiedziła Waliszewskiego straszliwa i nieznana prawie choroba, której pierwsze oznaki pojawiły się odrazu po przyjeździe do Paryża. Musiano mu amputować obie nogi i w tym stanie wrócił do kraju w 1930 r., przebywając odtąd na zmianę w Krakowie lub w Warszawie.

Ograniczona naskutek choroby ruchliwość i zmienione warunki życia w kraju zrobiły swoje. Waliszewski, który przekroczył już trzydziestkę, skazany raczej na obcowanie z własnemi myślami i samotną pracownią niż z grupą kolegów, przechodzi w okres zmagań się i wahań, okres, który stanowi najbogatszy i ostatni zarazem, śmiercią nagłą przerwany, etap jego pracy.

W tym samym czasie powróciła do kraju większość kapistów i rozpoczęła urządzać wspólne wystawy. Wykazały one, że grupa kapistów, ogarnięta w dużej mierze sugestją malarstwa Jana Cybisa i teoretycznemi uzasadnieniami Cybisa i Czapskiego, zdobyła — w pewnym sensie wbrew swoim zamiarom — dość zdecydowaną fizjognomję artystyczną: malarstwo jasne (niemal rozbielone), pełne kolorowej radości, udyscyplinowane w budowaniu planów (niejednokrotnie wpadające w dekoracyjną jednoplanowość), wywodzące się z inicjatywy impresjonistów i post-impresjonistów. Elementy te dawały w rezultacie malarstwo o pięknej, barwnej powierzchni, malarstwo, w którego ramach realnie istniejący przedmiot i rzeczywistość przestrzenna zjawiały się, przetłumaczone na barwną plamę. Malarstwo tak postawione nie „przedstawiało" rzeczywistości, nie było skierowane na wyczerpujące plastyczne określenie swojego widzenia świata, lecz stanowiło tylko jakby barwną karawanę, grającą kolorowym pyłem poprzez warstwy powietrza.

Patrząc na obrazy Waliszewskiego z ostatnich dwóch lat, trudno oprzeć się wrażeniu, że u niego, który zawsze dążył do pokazania otaczającego go świata kolorem i kształtem jak najkonkretniejszym, że u niego właśnie odezwać się musiały i uświadamiać coraz uporczywiej wątpliwości i wahania co do własnych dróg i dróg grupy, do której należał i z którą wiązały go: wspólne artystyczne wychowanie, przyjaźń i wiara w artystyczną uczciwość.

Przeobrażenia, które naskutek tych wahań dokonały się w sztuce Waliszewskiego, wykazały obrazy, wystawione półtora roku temu w warszawskim I. P. S.-ie. W tych obrazach zjawiają się formy zwarte i określone, przestrzeń i plany ustalone, zbliżające malarstwo jego do tradycyj sztuki holenderskiej XVII w. W kilku „martwych naturach", które opracowywał w ostatnich jeszcze dniach przed śmiercią, pasja ta doprowadziła go już niemal do granic naiwnego realizmu.

Ale te zmagania się, to kontrolowane ustawicznie transponowanie rzeczywistości na obraz, wydaje się dziś — przy przeglądaniu całości spuścizny po Waliszewskim — jakgdyby tylko studjum teoretycznem. Na jaśniej i najbogaciej, najbardziej prawdziwie i przekonywająco ogarniają wyobraźnię jego „uczty", przelewające się renesansowym jakgdyby przepychem, typ malarstwa, pokazany na plafonie na Wawelu, jego „fraszki" i „groteski", malowane gwaszem na kartonach, wyrosłe z jakiegoś uśmiechu, nieznanego nikomu i niesprowadzalne do żadnego określonego stylu malarskiego, z wyjątkiem wspomnianych już *„images"*. Równie niespodzianie działają niektóre martwe natury, malowane wybuchowo i pozostające w prostym stosunku do jego temperamentu, o położeniu farby pełnem, świetlistem, zdecydowanem jak u Maneta. Przy przeglądaniu tych płócien narzuca się niemal wrażenie, że najwartościowszą i najbardziej autentyczną była u niego ta część twórczości, którą uprawiał niejako na marginesie swych dociekań, a która szła drogami jego temperamentu, nieokiełzana wiedzą o „dobrem" malarstwie.

* * *

Stało się niemal banałem mówić o tem, że odrębność sztuki naszej nie w tem się objawiała, *co* malowano, ale w tem, *jak* malowano. Próbowano tłumaczyć wygląd naszego malarstwa właściwościami sarmackiego temperamentu. Z trudem zapewne i nieco sztuczną drogą udałoby się pozytywnie określić owe właściwości i wydzielić na tej drodze malarstwo nasze z całości sztuki europejskiej. Niewątpliwie bowiem bliski prawdy jest raczej Renoir, który kiedyś powiedział, że każde dobre malarstwo jest do siebie podobne. Ale to, co ludzi wyodrębnia w grupy narodowe czy inne, co czyni ich do siebie podobnymi a odmiennymi od innych, to wspólne warunki życia kulturalnego i społecznego, które jednakowo ciążą nad ich życiem i są tą ziemią, z której trzeba się przebić i wyróść do góry.

Na gruncie polskim, na tej glebie, nieprzeoranej tradycją plastycznej kultury, usiłowania „kapistów" oparcia swej pracy na „wiedzy" i dążności do opanowywania wybuchu twórczego uzasadnioną troską o „poziom", musiały się w tkankach nerwów Waliszewskiego natknąć na sprzeciwy i opory. Obrazy jego z ostatnich lat to nietylko tereny walk jego artystycznego sumienia z ślepym instynktem twórczym, to zarazem obraz ogólny niepokojów, trosk i walk, które były i są udziałem wszystkich niemal zeuropeizowanych przedstawicieli polskiego malarstwa. Walki te toczył i przeżywał Waliszewski w heroicznem napięciu na swoim trzykołowym wózku aż do chwili, kiedy przestało bić jego gorące serce; walki te przeżywamy wszyscy — młodsze i starsze, z „formizmu" jeszcze wyrosłe pokolenie, przeżywał je zapewne Kotkis, Aleksander Gierymski i Podkowiński. I dlatego tak bliskie są nam drogi twórczości i prace Zygmunta Waliszewskiedo.

Henryk Gotlib

Listopadowa wystawa w Lwowskim Zawodowym Związku Artystów Plastyków obejmowała: kolekcję grafik Stefanji Juer Dratlerowej, pejzaże i portrety Antoniny Richterówny, pejzaże i kompozycje Eustachego Wasilkowskiego oraz pejzaże Emilji Wyszatyckiej. Na innem miejscu dajemy kilka reprodukcyj z tej wystawy.



Kwiaty (olej)
ZYGMUNT WALISZEWSKI



Martwa natura (olej)
ZYGMUNT WALISZEWSKI



Pierrot (olej)
ZYGMUNT WALISZEWSKI



Malarz i modelka (olej)

ZYGMUNT WALISZEWSKI

HALINA KRAHELSKA

NA ŚLĄSKU

Fragment powieści

..Po tej rozmowie z małą, Paweł nie mógł długo zasnąć. W izbie było cicho. Franciszki nie było w domu: nocowała tego dnia u ciotki, na wsi; miała podane przez ciotkę, że może tam u niej dostać trochę mąki, jak przyjdzie. Na łóżku jej, wspólnem ich małżeńskiem łóżku, zasłanem starą derką, leżała porzucona przez Franię pończocha. Paweł przypomniał sobie, jak bardzo złościła się, że nie ma nawet najlichszych pończoch do włożenia: wszystko zdarte i złatane, aż pagórki stoją! Umyła nogi, szczupłe, zgrabne nogi, obciągnięte bardzo jasną skórą; obuła na bose nogi półbuty i tak poszła.

Zdrętwiały, połamany po przeprawie z małą, Paweł siedział na ławie, naprzeciw łóżka i leniwie, tak jakby kątem myśli, przesuwał po głowie mętne smutki o swojem życiu. Stary był. Dla niej, dla żony. No, pewnie, że stary! Miał poza pięćdziesiąt, a ona nie dopędziła trzydziestki. Kiedy się dopiero pobrali i czasem razem z córkami poszli do kościoła, nieraz słyszał jak sąsiedzi, znajomi mówili, że Frania wygląda też na jego córkę. — A jednak, póki miał pracę, dobry był dla niej! Wszystko zaczęło się od czasu jak pracę stracił. — Ciciał brnąć w dalsze rozmyślania, *jak* to się zaczęło — bo przecie już dawno, już przeszło trzy lata. I zaraz, jakby z głębin duszy, takich głębin całkiem na klucz pozamykanych, wyłazić zaczęły wspomnienia, zawsze piekące, żrące: o pierwszem Frani wymykaniu poza dom, — jak ją spotkał na mieście o zmroku z Regulą; no i wszystko co było potem — gotowe było wywijać się z pamięci, jak paciorki w różańcu, jedno za drugiem...

Wysiłkiem świadomej woli Paweł strząsnął, zerwał nawiązującą się ciągłość wspomnień. Co stąd przyjdzie, prócz szarpania, żarcia sobie wnętrza? Odmieni to co?!

Wparł teraz oczy w małą Trudkę, zwiniętą, jak kot, w kłębek obok porzuconej pończochy na rodzicielskim łóżku. Spała już bardzo mocno, po szturchnięciu, spoliczkowaniu, po wszystkich krzykach. Pchnął ją tak na łóżko, które nie było dla niej, bo nagle zmilkła jak ucjął i tak jakoś dziwnie wypadła mu z rąk. Trochę przestraszył się, bo przecie mógł ją w gniewie przycisnąć za dobrze, takie chuchro.

Nie pomogło ostre odpędzenie tamtych, żrących wspomnień o niewierności żony; teraz obsiadły go znów myślenia o tej małej, o Trudce, ostatniej po jego nieboszczce. Oj, nieboszczka! Ścisnęło go za krtań, jakby ręką, twardym bólem i żalem. Cóż to było za życie z nią! Spokój, przytulność, takie bezustanne dokoła niego staranie; takie kochanie ciepłe, wierne, jednakowe przez tyle czasu. Stanęła mu nagle w oczach, nasuwając się przemocą, jej twarz śmiertelna: nie miała już wcale siły, nie mogła już mu nic słowami przekazać i tylko wodziła tak swemi biednemi, gasnącemi oczami; z jego twarzy na bułkę malutkiej, beczącej Trudki; z jego męskiej, stwardniałej w bólu, starej twarzy — na jej milutką, krągłą, dziecinną buzieczkę. Paweł dobrze zrozumiał te ostatnie żony przykazanie: wiązała go tym



Karty
EUSTACHY WASILKOWSKI

wzrokiem, ostatnią swą wolą, jak nierozerwalnym sznurem, z tą małą, ze swoją najmłodszą, jeszcze taką malutką i bezbronną: nie miało to ponad siedem lat. „Nie odstąp jej" chciała prosić w ostatniem tchnieniu — „nie daj jej skrzywdzić, — upilnuj!" Paweł to bardzo dobrze zrozumiał. Choć musiał się żenić (tyle gęb w rodzinie, tyle roboty, a i samemu jakże przeżyć bez kobiety!), to jednak — pierwsza rzecz — Frani zastrzegł, że mała Trudka ma być dla niej święta: ani bić, ani głodzić, ani ukrzywdzić. A teraz?!

Jak mogło do tego przyjść, że się nie spostrzegł, że Trudki nie upilnował, — że pozwolił ją tak do całego świństwa włożyć, przyuczyć, okręcić? Paweł tarł dłonią czoło. Miłe, ciepłe błyski wspomnień o nieboszczce odpłynęły już, jakby ich nie było; pozostał zgrzyt, wyrzut i cierpienie.

„Ano" — powiedział sam do siebie — „*to wszystko przez to bezrobocie*"...

I rzeczywiście tak było przecie już od paru lat, a zwłaszcza tej ostatniej, okropnej, najgorszej zimy w r. 1932, że głowę miał jakby zakapturzoną tem jednem: gdzie wyrwać pracę? Z tem się kładł, z tem wstawał i wałęsał się poza domem po całych dniach... No, a przytem i te małżeńskie zmartwienia z Franią...

Ciężko wstał z ławy i podszedł blisko do łóżka, patrząc na małą. Ile też może mieć dziś? Pięć lat od śmierci matki, ma dwanaście... Dwanaście! A wygląda chyba na dziesięć. Skurczona, z pleckami w pałąk, mała Trudka była zupełnie płaska, słabo rozwinięta; jej podgięte w kolanach nogi były jeszcze całkiem dziecinne. Twarzyczka natomiast, we śnie, mocno spłakana po biciu, wydawała się mądra, starsza: miała takiego marsa między brewkami... Długie, ciemne rzęsy rzucały na blade policzki szeroki cień.

Paweł zauważył, że mała, tuląc we śnie ręce do piersi, zaciska piąstkę. Bezwiednie pogłaskał ją teraz po skudłanych włosach. Mała drgnęła, zawzdychała kurczowo i wyciągając piąstki przed siebie, zagadała przez sen prędko, cichutko, ostro: „Tatuś! tatuś! Nie bić! Sama oddam! oddam!..." Paweł nie rozumiał. Pochylił się nad



Martwa natura
ANTONINA RICHTERÓWNA

nią; posunął ją trochę dalej do ściany; przycupnął sam przy niej, ale zdala, jakby się bał ją urazić. Położył na jej główce swoją wielką, chropawą dłoń. „Śpij już, śpij, dziecko," — zamruczał — „uspokój się..." Rozprężyła się, trochę się budząc, pod dotknięciem tej jego dobroci i znów zasypiała, a Paweł, układając się wygodniej, natrafił na coś twardego, zimnego i okrągłego: wypuściła te z rączki. Było to pięćdziesiąt groszy: skarb! opłata...

Paweł źle spał tej nocy Wciąż była tu nieboszczka, ale wcale nie taka dobra jak prawdziwa, tylko obuarona, nieprzyjazna, zła; nie chciała go, odtrącała precz a tylko tuliła to swoje opuszczone, zamarnowane dziecko... Paweł budził się, okrywał Trudkę lepiej derką, rozmyślał nad nią i zasypiał, żeby znów się budzić...

Ranek też zastał go całkiem innym. Czekał, aż mała sama się zbudzi, a miał już w nocy przemyślany i postanowiony dla niej ratunek. Dla niej ratunek, dla nieboszczki spokój, dla siebie — lżejsze sumienie.

Nie czekając na Franię (napewno będzie się wylegiwała u ciotki, bo i nie ma do czego się śpieszyć!), Paweł przyrządził dla Trudki śniadanie. Wziął jej pięćdziesiąt groszy, wyślizgnął się z izby, kupił jej dwie bułki i mleka. Zagrzał trochę starych kartofli z obiadu. Nie było mu wesoło kupować z tych pieniędzy, ale innych nie było w domu, a przecie dziecko miało do tych pieniędzy prawo, oj, miało...

„Zdrowie, młodość, całe życie takiego dzieciaka, chuchra, to warte takie pięćdziesiąt groszy!..." — pomyślał gorzko.

Kiedy usiadła na łóżku, otwarła szeroko niebieskie oczy: ojciec niósł jej do łóżka jedzenie. „Tatulku!!" zawołała strasznie zdumiona. „Ja wstanę!" Paweł zamruczał coś niewyraźnie, ale dobrotliwie i kazał jej prędko zjeść; zaraz porządnie się umyć, czyściej ubrać, bo pójdą w jednym ważnym dla niej interesie. Trudka nie śmiała — po wczorajszem — zapytać ojca. Tak szczęśliwie wypadło, że już nie chciał bić; nie krzyczał!...

* * *

O bardzo wczesnej godzinie, przed ósmą, przyszli do komisarjatu. Komisarza jeszcze nie było w policji, ale zaraz nadszedł. Rzucił w przejściu okiem na wczesnych interesantów w poczekalni i spytał, otwierając drzwi do swego gabinetu: „No, co tam, z czem pan tu? Co za dziecko?" Tymczasem dyżurny policjant meldował coś nowego komisarzowi i odsunął sobą Pawła. Potem zamknęły się drzwi.

Ale Paweł zdecydował nie dać za wygraną. Znał przecie tego komisarza. Prosił policjanta o zameldowanie, że: w bardzo osobistej sprawie córki, małoletniej, w zaufaniu do pana komisarza przyszedł Paweł Toporek, górnik z „Ferdynanda", teraz bezrobotny, którego przed pięcioma laty pani komisarzowa poleciła do inżyniera na „Ferdynandzie". Policjant wyszedł i zaraz wrócił. „Może pan wejść; wasze szczęście, że wczesna godzina i komisarz jest". Paweł wszedł i stanął w środku pokoju; za nim Trudka, całkiem ukryta za szeroką postacią ojca.

„No cóż tam, panie — jak tam was — Toporek?" zagaił komisarz. Był to tłusty, o dobrotliwej twarzy człowiek, w binoklach, maskujących bezradny wyraz oczu, z przystrzyżonemi krótko, siwiejącemi wąsami.

„Panie komisarzu, to jestem właśnie ten z protekcji pani komisarzowej przyjęty do „Ferdynanda"... Ale to dawno... Teraz bez pracy.., już czwarty rok..." Komisarz przyjrzał się Pawłowi. „Bardzo rad jestem, że wtedy... Ale cóż teraz, panie? Pan wie, że teraz tak trudno z pracą... A co z tem dzieckiem? Czego się ona tak chowa? No, mów pan prędko, bo szkoda czasu! Cóż ja panu mogę?"

Paweł odsapnął. „Panie komisarzu, jak już państwo wtedy poratowali całą rodzinę, to już i dziś nie mam innego wyjścia, jak tylko prosić, niech pan komisarz tę małą, ostatnią mojej nieboszczki, poratuje!" — wymówił jednym tchem.

Okrągłe, bezradne oczy komisarza zaokrągliły się jeszcze bardziej ze zdziwienia. „A cóż to z nią? Jaki ratunek? Przecie to dziecko! Nie w szkole?"

Teraz Paweł odpowiadał z wielkim trudem. Czuł teraz każde słowo, niby szorstki przedmiot, uwierający go w gardle. „Panie komisarzu... Ona ze szkoła gorzej.. Nie było w czem zimą posłać, no i tak... Ale nie o to, panie komisarzu, tylko..." Nagle odwrócił się ostro do córki. „Wyjdź stąd!" krzyknął nienawistnie i znów ożyła w nim cała wczorajsza pasja na dziecko: za ten wstyd, za pośmiewisko ludzkie... „Panie komisarzu. Ona ma dwanaście lat i wczoraj wieczór przyłapałem ją, że już taka... chodzi... Wie pan komisarz?" głos mu się załamał, a na twarzy komisarza drgnął jakiś wyraz żałości. „No, jakże to?" powiedział, przebierając papierosy w pudełku i wtem podał Pawłowi papieros. „Taka mała... Jakże to? Wdowcem jesteście? Niema starszej córki?"

Paweł zapalił, podziękował, a potem jakby ścisnął się z całej siły i wygadał znów wszystko odrazu. „Panie komisarzu! Wszystko w życiu zmarniało tak. Żona umarła, jak tej było siedem lat. Musiałem ożenić się, no i... podkusiło mnie z młodą! Potem straciłem pracę. A córki mam, starsze, jeszcze dwie... Ale jak nie miałem już co dać im jeść, to tamte zabrały się z narzeczonymi, poszły, no i... Też nie mogę się chwalić, nie chcę ich znać.."

— „A macocha, żona? Nie mogła to wam upilnować dzieciaka?" — rzucił komisarz.

„Panie komisarzu! Z tem to właśnie najgorzej, bo żona moja... Młoda.. Ani dam jej porządnie jeść, ani co kupię.. No i tak też poszło... A zresztą muszę to przyznać, że jednak żywiła ją, tę małą... Ale i musiała sama jej tę drogę pokazać..."

Komisarz milczał. Paweł stał, spocony z wysiłku. Teraz, tu, uczuł się głodny. Bardzo głodny. W oczach, ze wzruszenia i głodu, latały mu czarne płatki.

„Mam taką prośbę teraz, żeby pan komisarz, z dobroci swojej, dał mi ją gdzie do takiego zakładu dla dzieci, co to bywa, poprawczy czy wychowawczy, nie? Są takie? O to właśnie przyszedłem, panie komisarzu. Bo tak grzech i wstyd, i nieboszczka żyć mi nie da... A życie samo bez tego bardzo ciężkie i nielitośne dla



Cyrk
STEFANJA JUER DRATLEROWA

mnie... Pan komisarz poratuje..." I tu, po całem przemówieniu, drgnął mu głos jakby rzewną skargą.

Komisarz odezwał się zcicha. „Usiądźcie tu. Czy macie jaki zarobek? Dorywczy, myślę?" — „Nic nie mam lepszego, panie komisarzu... Czasem, komuś coś z dworca odniosę, albo spod sklepu, albo taksówkę lecę wołać; a jak się zdarzy, idę coś uprzątnąć... Takie nic, panie komisarzu! Czasem złotówka, dwie za dzień, a czasem i wcale nic..."

Komisarz zamyślił się poważnie i głęboko. Po chwili podniósł na zgnębionego Pawła oczy i powiedział: „To tak wygląda życie, co? Pamiętam; żonie mówili, że byli z was zadowoleni na „Ferdynandzie"... A teraz, z tego wynika, że taki najpewniejszy zarobek, na kawał chleba, to co one przyniosą, hę?" — Nastąpiła długa pauza. — „Tak, panie komisarzu" — potwierdził głucho Paweł. „Tylko, że ja z tego nie chcę jeść.." Wysoko, aż po oczy, zalały mu twarz rumieńce.

Komisarz znał Pawła z najlepszej strony. Nie zbywało na chęci dopomożenia mu. Ale jak? Szybko przesunął w myśli wszystkie możliwości... Owszem, taki zakład dla dziewcząt, — ale przepełnienie? No i ta-

STANISŁAW SALZMAN

PLAN PRZEBUDOWY ŚWIATA

Henryk de Man: Plan przebudowy świata. Warszawa 1936

Tak się dziwnie jakoś składa, że gdy w samej Belgji osłabła w ostatnich czasach siła atrakcyjna planu odbudowy gospodarczej świata, u nas staje się on przedmiotem coraz żywszego zainteresowania. Z jednej strony akceptują go skwapliwie ci wszyscy, którzy dopatrują się w nim doskonałego antidotum na „dogmatyzm" przestarzałego rzekomo marksizmu, z drugiej zaś — niektórzy teoretycy socjalistyczni (np. b. poseł Hausner) obmyślają możliwości przystosowania planu de Mana do rzeczywistości polskiej. Radość „rewizjonistów", którzy już od kilkudziesięciu lat głoszą niestrudzenie kryzys marksizmu (pierwszy użył tego terminu Massaryk), jest zupełnie zrozumiała i nie powinna zaciemniać marksistom właściwego punktu widzenia. Należyta ocena planu de Mana, zależy wyłącznie od znalezienia dlań właściwej miary i określenia ciężaru gatunkowego tej koncepcji w całokształcie ideologji socjalistycznej. Mówiąc poprostu, idzie o stwierdzenie, czy plan de Mana należy traktować jako konkretny i dający się zrealizować projekt reorganizacji społeczeństwa, czy też jako pewien zespół haseł, mających na celu rozszerzenie bazy masowej socjalizmu w jego walce z kontrrewolucją faszystowską.

Plan de Mana zrodził się w atmosferze klęski. Powstał jako rezultat rozmyślań teoretyka i praktyka nad przyczynami cofania się ruchu socjalistycznego i zwycięskiego pochodu faszyzmu. Socjaldemokracja niemiecka zarówno przed klęską jak i później nie umiała znaleźć właściwej formy walki z faszyzmem, walczyła bowiem jedynie z jego objawami a nie starała się walczyć z jego przyczynami. W okresie, kiedy hitleryzm znajdował się jeszcze w opozycji — nie doceniała należycie jego niebezpieczeństwa (de Man twierdzi coś wręcz przeciwnego) i wyraźnie go lekceważyła. Podobnie też i w Austrji partja Bauera przez dłuższy czas ignorowała poprostu Heimwehrę, a gdy zobaczyła wreszcie niebezpieczeństwo — było już zapóźno. Niemiecka socjaldemokracja uważała, że najlepszym sposobem zwalczenia hitleryzmu będzie przeciwstawienie brunatnym bojówkom — bojówek czerwonych czy różowych (zupełnie skomunizowany „Roter Frontkämpferbund" czy socjal-liberalny „Reichsbanner", a w Austrji „Schutzbund"). Rzeczywistość przekreśliła te rachuby: wykazała, że w momencie dostatecznego dojrzenia faszyzmu, jego bojówki zdobywają potężnego sojusznika w postaci aparatu państwowego, policji i wojska. W takich warunkach walka staje się oczywista nierówna. De Man podkreśla słusznie, że wodzowie socjaldemokracji niemieckiej nie przeciwstawiali partji narodowosocjalistycznej żadnych naprawdę żywotnych i aktualnych haseł, ograniczając się jedynie do obrony demokracji mieszczańskiej, znienawidzonej przez szerokie rzesze społeczeństwa. Tem, co nadawało nietylko hitleryzmowi, ale wogóle każdemu prądowi faszystowskiemu nieodpartą siłę atrakcyjną, było umiejętne wykorzystywanie dla celów reakcyjnych — tendencyj i uczuć rewolucyjnych, jakie ożywiały podówczas masy drobnomieszczańskie. Podana przez de Mana etiologja faszyzmu nie wnosi właściwie do teorji socjalistycznej nic nowego, powtarzając cztery znane już aż nadto dobrze przyczyny powstawania ruchów faszystowskch w Europie, a mianowicie: niezadowolenie socjalne warstw średnich spowodu rosnącej ich proletaryzacji, rozbudzenie uczuć nacjonalistycznych, coraz większy upadek instytucyj parlamentarnych i wreszcie „stopniowe i stałe cofanie się ruchu socjalistycznego w kierunku spraw lokalnych, partykularnych, ciasnych, interesowanie się tylko proletarjatem przemysłowym, obrona pozycyj dawno zdobytych i brak inicjatywy w sprawach nowego ładu". De Man pomija jednak najważniejszą przyczynę, bez której nie byłoby możliwe zwycięstwo faszyzmu, a mianowicie — interesy kapitalizmu finansowego i przemysłowego oraz wielkich posiadaczy ziemskich, pragnących skierować antykapitalistyczne tendencje drobnomieszczańskie w łożysko reakcji. Źródła antykapitalizmu warstw pośrednich tkwią w strukturze społecznej drobnomieszczaństwa, które buntuje się nie przeciw kapitalizmowi jako takiemu, lecz przeciwko jego najwyższym formom — monopolom i bankom, nie przeciw własności prywatnej środków produkcji, lecz przeciw „anonimowemu mocarstwu" giełdy, akcyj i procentów. Narodowy socjalizm umiał przechwycić te nieokreślone często nastroje i nadać im wyraz ideowy w osławionym programie Gottfrieda Federa, który jeszcze przed przystąpieniem do obozu hitlerowskiego stworzył „teorję" o produktywnym i twórczym kapitale przemysłowym i o pasożytniczym, żydowskim kapitale finansowym. Tenże sam Feder ukuł również hasło „walki z niewolą procentu", które przejął potem pojętny i chłonny Hitler. Społeczne punkty programu brunatnego faszyzmu przewidywały prócz zniesienia niewoli procentu upaństwowienie banków i wywłaszczenie wielkich domów towarowych. Wszystkie te obietnice brzmiały jak najsłodsza muzyka w uszach zubożałych i zadłużonych sklepikarzy, rujnowanych przez domy towarowe, właścicieli małych warsztatów produkcji, pracujących przy pomocy obcych kapitałów, wreszcie chłopów oraz tych wszystkich zdeklasowanych elementów drobnomieszczaństwa, które utraciwszy własne warsztaty, marzyły o ich odzyskaniu. Zasięg narodowego socjalizmu nie ograniczał się zresztą jedynie do drobnomieszczaństwa, lecz dzięki działalności lewego (subjektywnie uczciwego) skrzydła partji hitlerowskiej — obejmował również bezrobotnych i część proletarjatu zatrudnionego. W roku 1924 wódz lewicy hitlerowskiej Grzegorz Strasser, atakując w parlamencie republikę wejmarską, stwierdził, że demokracja nie jest niczem innem, jak tylko maską panowania wielkokapitalistycznego i powoływał się na „potężną tęsknotę antykapitalistyczną", ożywiającą znakomitą większość narodu niemieckiego.

Tak faszyzm dochodzi do władzy. Jakie wnioski wynikają z tej analizy dla ruchu socjalistycznego? De Man uważa, że socjalizm, który chce zwyciężyć, powinien przejść do kontrataku ideowego i przeciw obłudnemu antykapitalizmowi faszyzmu wysunąć swój prawdziwy i szczery program antykapitalistyczny. Socjalizm przegrywa, bo opiera się prawie wyłącznie na proletarjacie fabrycznym a nie umie przeciągnąć na swoją stronę potężnych pod względem liczebnym warstw drobnomieszczaństwa. Zamiast bezpłodnej defenzywy antyfaszystowskiej teoretyk belgijski proponuje wielką ofenzywę socjalistyczną przeciwko kapitałowi monopolistycznemu. Kierunek, metody i wytyczne tej ofenzywy ma właśnie wskazać plan gospodarczej odbudowy. Przewiduje on powstanie gospodarki mieszanej, w której „obok odcinka znacjonalizowanego istniałby obszerny teren własności prywatnej". Upaństwowieniu uległyby wszelkie przedsiębiorstwa monopolistyczne i banki oraz przemysł węglowy, elektryczny i niektóre działy metalurgji. Dziedzinę „gospodarki autonomicznej" tworzyłyby natomiast kapitały nie zmonopolizowane, przemysł, w którym przeważa wolna konkurencja oraz te wszystkie gałęzie produkcji, w których zachowana jest jedność własności środków produkcji i pracy, t. zn., w których właściciel jest zarazem robotnikiem. Powstała w ten sposób gospodarka mieszana byłaby zarazem — planową i podlegałaby jednolitemu kierownictwu, sprawowanemu przez rząd. Zadaniem tego kierownictwa byłoby podniesienie siły nabywczej rynku wewnętrznego odpowiednio do jego możliwości produkcyjnych. W tym kierunku pracowałyby oba działy gospodarki mieszanej. De Man podkreśla z całym naciskiem, że realizacja jego planu nie likwiduje bynajmniej walki klasowej, która i w dalszym ciągu istniałaby w społeczeństwie, lecz rodzaj jej i intensywność zostałyby może znacznie zmodyfikowane. Urzeczywistnianie przebudowy gospodarczej odbywa się nie w skali międzynarodowej, lecz w ramach narodowych. Jedna z zasadniczych tez de Mana stwierdza, że walka z kryzysem zapomocą socjalizacji w inny sposób jest w chwili obecnej nie do zrealizowania. Wszelkie argumenty, przemawiające przeciw socjalizacji w jednym kraju, nie dotyczą — zdaniem de Mana — gospodarki mieszanej. „Ta bowiem w dalszym ciągu liczy na pieniądz do sprzedaży, kupna, brania pożyczek, według reguł obiegu, które panują obecnie na rynku światowym". Gospodarka znacjonalizowana nie byłaby identyczna z autarchją. Gdy celem autarchji jest zmniejszenie do minimum importu, co oczywista pociąga za sobą zmniejszenie eksportu — Plan Pracy, mając na celu rozwój rynku wewnętrznego, pragnie również odpowiedniej rozbudowy handlu zagranicznego. Odpierając zarzuty „wulgaryzatorów marksizmu" jakoby cały ten plan przebudowy był socjalizmem drobnomieszczańskim, de Man podnosi, że jego koncepcja zgadza się z ideami, wysuwanemi często przez Karola Marksa. „Socjalizm — pisze de Man — nie jest wrogiem własności, jest tylko wrogiem kapitału przemysłowego, który oddzielając własność od pracy, uzależnia robotnika od kapitalisty, tworzy proletarjat i gnębi go niemiłosiernie, mając pełną swobodę wyzysku... Niema takich haseł socjalitycznych, któreby uważały za wkazane całą indywidualną własność zmienić w wielki skoncentrowany przemysł lub przerobić wszystkich wytwórców w proletarjuszy". Znakomity uczony belgijski nie uwzględnia tego, że w ujęciu marksizmu kapitał przemysłowy jest takim samym koniecznym etapem rozwojowym kapitalizmu, jak obecnie kapitał monopolistyczny. Bedąc wrogiem kapitału przemysłowego, Marks stwierdzał zarazem konieczność jego powstania i negował inne możliwości przezwyciężenia go jak tylko przez socjalizm.

Plan de Mana chce zniszczyć kapitalizm monopolistyczny, nie niszcząc kapitalizmu jako takiego, czyli chce — mówiąc inaczej — cofnąć w pewnym sensie rozwój kapitalizmu: przezwyciężyć jego fazę najwyższa przez skombinowanie fazy poprzedniej, wolnokapitalistycznej z pewną porcją socjalizmu. Przypuszczać należy, że ta połowiczność byłaby główna przyczyną klęski Planu Pracy w okresie realizacji. Nie można wróżyć długiego żywota ustrojowi, w którym klasy posiadające zachowałyby przewagę ekonomiczną a proletarjat i drobnomieszczaństwo sprawowałyby kontrolę natury politycznej i gospodarczej.

Plan Pracy, jako nowy program minimalny socjalizmu, posiadać jednak może duże znaczenie, gdyż wzbogaca ruch socjalistyczny o szereg doniosłych wskazówek taktycznych, zmierzających w kierunku nadania prądom antyfaszystowskim zdecydowanej treści antykapitalistycznej. W tem właśnie, w wysunięciu przeciw faszystowskim nieszczerym hasłom walki z kapitałem finansowym — haseł walki prawdziwej i nieugiętej tkwi istotnie pozytywna wartość planu de Mana.

Z PAMIĘTNIKA ALFREDA DE VIGNY

14 marca 1852 r.

W stosunku do każdego rządu byłem niezależny, obojętny i wolny.

...Zbliżanie się do rządu, jakimkolwiekby był, kompromituje pisarzy, ponieważ każdy rząd skłonny jest pysznić się nimi jak orszakiem nadwornych śpiewaków i z natury swojej musi obawiać się zbyt wolnego i czujnego badania.

---

kie dziecko?! Szczupłe możliwości umieszczania dzieci należałoby chyba raczej utrzymać dla dzieci... lepszych, niezepsutych... Wstał. „Muszę panu uczciwie powiedzieć", odezwał się, „że jak dam ją do zakładu opiekuńczego, owszem, są takie, to będziecie musieli tam za nią płacić. Tak czy inaczej, a upomną się... Więc to musicie wziąć pod uwagę... Bo wolnych miejsc, bezpłatnych, żeby czekały, to wie pan, że skąd? Dzieci nadmiar, miejsc brak... A potem" — tu pokręcił głową — „takie dziecko, co już... hm... zakosztowało, sami wiecie... No to jak ją między dzieci wsadzić? Czy rozumiecie?" —

Ale Paweł nie słuchał już prawie tych dalszych wywodów. Płacić! — przeszło go ostrze tego słowa. Skąd?! To chyba musiałby sam jeszcze swoją Franię wypędzać, żeby więcej przyniosła!! Nie! Jak mógł?! Komisarz życzliwy, poczciwy; chciał by przecie ratować, ale uprzedził, wytłomaczył... Płacić!!

Komisarz musiał się śpieszyć: czekała jakaś komisja. „No, więc jak?"

„To już przepraszam, panie komisarzu, ale jak nie można... Bo z płaceniem to ja nie mam jak się zobowiązać..."

Skłonił się twardo. „Bardzo dziękuję panu komisarzowi za życzliwość i cierpliwość dla mnie..." — Wychodził prosty, skostniały, zabierając z poczekalni małą, drżącą z przestrachu Trudkę.

Halina Krahelska

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

JANOSIK Z TARCHOWEJ

(Fragment poematu)

Byli chłopcy, byli,
ale się minęli...

Brzęczy lipiec w jarych owsach, po pasiekach dzwoni,
idzie niedźwiedź leśnym ślakiem hań od śląskich groni,
drepcze kudłacz wyżnią percią, łbem kosmatym chwiejąc,
wciąga w chrapy miodny oddech, ślepia mu się śmieją.
U potoku za Tarchową w poziomkowych hrabstwach
miękko w leśnej, rośnej gęstwie rad zanurzył łapska,
haj! unurzał się, wytarzał, odurzył — i leży,
liże kudły umazane sokiem młodych jeżyn,
parska, prycha, pomrukuje tyle, że aż schrypiał, —
i na mchowej, na paprotnej pierzynie zasypia.

Popod buki wyżnią percią z siekierą za pasem
od Tarchowej nad potokiem idzie Juro lasem,
idzie Juro, poprzystaje, okukuje drzewa,
raz zastuka niczem dzięcioł, raz jak drozd zaśpiewa —
i od ziemnych, zielnych czadów w nogach się zatacza...
Nieumyślnie popadł znagła w chrustach na kudłacza.
Zastygł strumień. Ryknął bury i na łapy powstał.
Ej, ścisnęło Janosika w dołku — ale został.
Zgiął się kudłacz i za jesion chwycił przy korzeniu,
a Janosik, nie czekając, — łup go po ciemieniu, —
i nim we łbie jak dwie huby zalśniło mu jasno,
po raz drugi między ślepia toporem go prasnął.
Zakłębiło się w zaroślach, w listowiu zatrzęsło,
zawaliło się na drwala z bekiem krwawe mięso.

Wraca Juro. Postękuje. Ledwie co się wiecze.
Zza rękawa u koszuli jucha ciurkiem ciecze.
Przysiadł w trwawie pod ziemnemi skałkami u źródła:
ej, nim szczezł, pazurem pięknie pogłaskał go kudłacz!

Wartko zbiega po kamieniach strumyk za strumykiem,
niesie echo od Tarchowej buńczuczną muzkę,
słyszy Juro, jak pod smyczkiem panoszy się nuta,
jak zeń szydzi, jak w niej chełpi się junacka buta.
Snuje mgła pajęcze nitki. Mrok oczy zalewa.
Pod reglami urągliwie smyczek się zaśmiewa...
Szurnął piętą. Zęby ścisnął, że i kamień zgrzytły.
Poomacku o północku dowlókł się do izby.

Leży Juro na barłogu, brzask do okien stuka,
hen od Czaczy po gościńcu dziad Tarchowej szuka.
Na pościeli — jabłoń w oknie widzi mu się chłopem,
od Sztromberku prosto kraśny hajduk gna galopem.
Leży Juro. Precz kołuje sosręb mu nad głową,
przepytuje od Bukowca cygan o Tarchowa.
Skrzeczy sroka i raz po raz dziób o pióra otrze, —
u kaplicy na porębie zeszli się samotrzeć.
Prasnął hajduk kaszkiet ze łba, smyrnął dziad różaniec —
i ruszyli wraz ku dymom we wsi niczem w taniec...

Leży Juro. Przez ćmę widzi — cień drzwi się odmyka,
wnet rozpoznał w nagłym gościu Tomka Uhorczika.
Tuż za herštem towarzysze u progu stanęli,
aż Janosik — rad ich witać — porwał się z pościeli.
Od wczorajszej bitki jeszcze nogi pod nim gną się,
ale już ochota pląsa mu po czarnym wąsie, —
posadził ich na zydlach, mlekiem, serem gości:
ejże, jedzcie, pijcie — proszę pięknie ich milości!
A Uhorczik go o zdrowie zaraz pytać bieży, —
coby było, że tak pobladł i że w betach leży?
Więc kamratom rzecz wykładał, jak to, idąc lasem
za skałkami z panem barci spotkał się sam na sam,
jak go pniakiem chciał utrupić kosmaty — wereda
i jak właśnie on, Janosik, buremu się nie dał...
Lecz niedługo bawili się ugwarzaniem takiem
Juro z Tomkiem Uhorczikiem, Bidą i Turjakiem.

Za wysokiej turni orzeł podniósł się i kracze,
ej zwiedzieli się we dworze o bitce z kudłaczem,
wyniuchali krucy ścierwo u orłowej perci —
i kołują i zwołują się po łup na śmierci.
Nakazuje sługom dziedzic nie marudzić czasu
i coryhlej staszczyć zwierza z ślacheckiego lasu,
a jeśliby śmiał kto pytać ich o prawa czyje,
za odpowiedź dla nauki — zmacać chama kijem!
Z ekonomem od folwarku jadą w las parobcy,
na wyścigi za pańskimi gonią horni chłopcy.
Masierują wyżnią percią orawscy zbójnicy,
z kamratami masieruje Juro bladolicy.

Od cienistych leśnych paści wieje wilgnym chłodem,
narecznicą, podejźronem, wietlicą i miodem,
w gnilym próchnie u wykrotów wej gady się wiją,
srebrzą śliną jadowitą tę ziemię niczyją,
te upłazy, te wąwozy, owieski i wioski,
te pustacie nieulegle, a z prawa hrabiowskie,
ten z prawrzecion wysnowany sen mgieł i zieleni
od granitu Krzesanicy po wapienie Pienin.
Za skalnemi uskokami, za siedmiu potami,
u rumowisk na wygrzanej wyżni pod halami
leży nisko parów z wieńca wywinięty lasu, —
tam zgonili towarzysze zbrojnych parobasów.

Leżą pańscy przez zapadnie, sapiąc niby miechy,
omroczonych tną po ślepiach jedlinowe wiechy,
wtem otwarła się przed nimi polana za haszczem
i dojrzeli roztupaną nieboszczyka paszczę, —
widzą, tego wywalony jęzor w trawie wisi,
a owadzi gad gazduje se jak skrzętni mnisi.
Więc o krzemień u cholewy jęli noże toczyć, —
gdy znienacka Tomek Uhrik za buczka wyskoczy,
i nie takim głosem huczy hruby grom po jarach,
jakim zgóry gruchnął harnaś ku folwarcznym: wara!
Ej wara wam od niedźwiedzich kudłów, szelawity,
coby wnet siekiery waszych łbów nie poszczerbiły!
Wyłaził włódarz — he! he! he! — eh, ktoby mu tam sprostał,
ani nawet stęknął, kiedy w plecy nożem dostał,
ruszyli się za nim ławą słudzy: wiera boże!
Obdzielili wszystkich równo, — dostał każdy nożem.
Dostało się i kamratom po łbach ile zmieści,
aby było jak przystoi w wiernej opowieści.
Wzięli chłopcy od sękatych, dworskich kijow rany,
zostawili zato w chrustach drabów porąbanych,
podciągnęli portki wyżej, poprawili pasy,
zanucili, że huknęło — ej! i uszli w lasy.

WIKTOR BYLINA

SZUKALSKI JAKO ZJAWISKO SPOŁECZNE

O Szukalskim pisano już wiele i czytelnicy przeważnie mają już pogląd na jego twórczość wyrobiony. Toteż tematem mojego artykułu nie jest fachowa ocena rzeźb Szukalskiego. Zamiarem moim jest wykazanie, że ten genjalnie zdolny człowiek, dziwak, awanturnik o nieokiełznanym temperamencie, stanowi *doskonały*, bo *karykaturalny przykład zwyrodnienia rzetelnego talentu, który oderwał się w swojej twórczości od mas*. Takie ujęcie zagadnienia, zwanego „Szukalski“, pozwoli nam między innemi łatwo rozwiązać zagadkę jego „niezrozumialstwa“. Rzecz prosta, że ze względu na ramy artykułu poruszam tylko jeden zespół zagadnień (i to nie wyczerpująco), których ta niezwykła indywidualność artystyczna nasuwa mnóstwo.

Podkreślenie, że Szukalski stanowi *przykład karykaturalny, przesadzony*, zwolni mnie od obowiązku dyskutowania z przeciwnikami tezy konieczności związania twórcy z masami.

* * *

Kiedy po raz pierwszy oglądałem prace Szukalskiego, ktoś burknął przy mnie: „ależ to jest oczywiste szaleństwo!“ Przyznałem w duchu słuszność nieznajomemu, ale równocześnie zaświtało mi w głowie, że w tem szaleństwie jest metoda. W tem szaleństwie jest — lepiej, czy gorzej ujawniona — myśl a nawet teza społeczna. Gdy usłyszałem wyjaśnienia samego Szukalskiego, nabrałem pewności.

Jeden z krytyków literackich napisał kiedyś ze stuprocentową słusznością, że „napisanie uchwały partyjnej wierszem, nie uczyni jeszcze z autora poety proletarjackiego“. Ale, dodajmy — choć nie będzie to poezja, pozostanie uchwałą, którą przecież odczytać z „wiersza“ można. Zrozumieć jej sens wprawdzie trudniej — metoda zapisywania użyta w tym przypadku była nieodpowiednia — przy dobrej jednak woli zrobić to można: zatem z „wiersza“ wyłoni się przecież *sens społeczny* nieudolnego choć zrymowanego utworu. Podobnie rzecz się ma z rzeźbami Szukalskiego. Trzeba się im przyjrzeć, posłuchać wyjaśnień twórcy, podyskutować z nim (jest na to wściekle łakomy, na każdego dyskutanta rzuca się z niekłamanym ogniem), a społeczna, reakcyjna treść, jaką kryją te zawikłane, bezkształtne, przytem po jubilersku wycyzelowane rzeźby, wystąpi w całej jaskrawości.

Odrazu, gdy tylko spoglądamy na zbiór dzieł Szukalskiego, zwraca uwagę pewna cecha zasadnicza. Oto głównym (a nawet jedynym, jeżeli chodzi o dzieła, przez samego twórcę na wystawie otaczane największą miłością) przedmiotem prac Szukalskiego są t. zw. ludzie wielcy. Napróżnobyś szukał wśród najwybitniejszych dzieł Szukalskiego thorwaldsenowskiego „Adonisa“, „Nocy i poranku“, „Nadziei“ lub też rodinowskiego „Stworzenia człowieka“, „Pocałunku“ czy „Myśliciela“. Nie — takich tematów u Szukalskiego nie znajdziemy (nie mówię o drobnych studjach, mających dla artysty znaczenie samokształcące). Wszędzie natomiast na plan pierwszy wybija się jedno — wódz, właściwiej zaś mówiąc — tęsknota za wodzem.

I tutaj natychmiast poznajemy marzenia Szukalskiego. Władcza jednostka, umiejąca tyrańską wolę swoją lub swojej klasy narzucić siłą ogółowi — oto jego ideał. Jeżeli przytem Szukalski służy nam osobiście wyjaśnieniami, dowiadujemy się wnet, że tacy ludzie to np. Mussolini, Hitler itp. Prawdziwie wielki jest dla niego nie wódz, który stara się potrzeby „swojego“ ludu zaspokoić — taki zdaniem Szukalskiego „schlebia“ masom, czyli nie ma „siły“ — tylko ten, który porywa za sobą, dla swojego hasła „ciemną masę“ i przemocą prowadzi ją tam, dokąd sam chce. Stąd uwielbienie dla wodza faszystów.

Naturalną konsekwencją takiego światopoglądu jest nienawiść do mas ludowych. Masy zdaniem Szukalskiego nigdy nic na świecie nie stworzyły. Masy to ciemne bydło, którem wodzowie (Szukalscy) powinni kierować i prowadzić do „czynu“, naturalnie przez siebie obranego i nie uwzględniającego potrzeb tych mas. Masy nietylko nic nie potrafią same uczynić, twierdzi Szukalski, ale nawet nie umieją myśleć ani rozumieć (dosłownie! zdanie wypowiedziane na wystawie w Warszawie do uczestników wycieczki TURa). Nie potrafią więc zrozumieć dzieła sztuki. Artysta szukalszczyk nie musi się zatem silić na to, żeby być dla mas ludowych zrozumiałym. Stąd bierze się nonszalancka drobiazgowość tych rzeźbionych felietonów i odezw polityczno-społeczno-literackich, które Szukalski nazywa pomnikami, a których nikt bez jego „wyjaśnień“ nie rozumie.

Czy wspomniana przed chwilą nienawiść, niewiara, a co za nimi idzie — i oderwanie od mas nie stanowią jedynego i dostatecznego wyjaśnienia przyczyn „niezrozumialstwa“ Szukalskiego? To „niezrozumialstwo“ sprawia, że Szukalski stanowi jaskrawy nawet przesadzony przykład rozwoju artysty i jego idei twórczej oderwanych od rzeczywistych potrzeb otoczenia. Szukalski zresztą jest „zrozumiały“, ale tylko dla ludzi, mogących i chcących myśleć temi samemi co on kategorjami, zgadzających się, że dzieła sztuki są przeznaczone tylko dla jednostek wybranych, dla ludzi, którym on — artysta zawieszony w próżni — wyjaśni je wraz z całym swoim światopoglądem. Ten zaś ostatni przyjąć może tylko społeczny reakcjonista.

Czyż bowiem to poszukiwanie wodza i stosunek do mas nie są najczystszej wody reakcją społeczną? Czy ta dezynwoltura, która bezsprzecznie fenomenalnie zdolnemu twórcy pozwala „gwizdać“ na to, co powie o nim szary człowiek, byle tylko ludzie (nieliczni) tak myślący jak on łączyli się przy nim, nie jest stuprocentowym „faszyzmem artystycznym“? Czy proponowana przez Szukalskiego „twórcownia“ („Tylko silnie zbudowani mogą być przyjęci; talent jest niepotrzebny, da go twórcownia“, zapowiada Szukalski w reklamie swojej „uczelni“), która powstała w Krakowie, będzie się czemkolwiek różniła od szkółek hitlerowskich?

Czy wreszcie „teorja“ zbliżenia kulturalnego narodów, proponowana przez Szukalskiego, nie jest próbą przeniesienia typowych metod faszystowskich na teren kultury? Oto proponuje Szukalski, aby polscy artyści chowu „twórcowni“ rzeźbili posągi „wielkich ludzi“ innych narodów i składali je „imieniem narodu polskiego“ tym narodom w darze. I już. Zbliżenie gotowe. A więc nie stała wymiana dóbr kulturalnych między rozmaitemi narodami — ta jest zdaniem Szukalskiego szkodliwa, każdy powinien uczyć się sam, krajowemi środkami. A więc nie wspólne tworzenie kultury przez wszystkich, tylko humorystyczna „wierzchołkowa“ wymiana: mój Szukalski wyrzeźbił twojego Mussoliniego, twój Szukalski (zresztą chowu mojego Szukalskiego) wyrzeźbił mojego Mussoliniego...

Czem się stanie sama „sztuka“, pojęta w ten sposób? Społeczeństwo jej nie zrozumie, sama nie będzie się troszczyła o to, aby być zrozumiałą, a wyraźniej niż sztuka dotychczasowa zrywając z szerokiemi rzeszami swoich konsumentów stanie się już udziałem doprawdy tylko jednostek. Ze środka oddziaływania na ogół, zamieni się dzieło tej „sztuki“ w „tabu“, które — dostępne tylko kacykom — stanowić będzie zaklęty w kamień lub płótno „program“ kulturalno-artystyczny faszyzmu. Nie znaczy to bynajmniej, co muszę dla uniknięcia nieporozumień jeszcze raz podkreślić, że sztuka faszyzmu musi dokładnie tak wyglądać jak dzieła Szukalskiego. Nie, one są tylko karykaturą, przesadnym obrazem tej sztuki, ale — wyjaśnione w sposób autorytatywny przez samego Szukalskiego — zawierają wszystkie istotne ujemne składniki „kultury“ faszyzmu.

Możliwe, że wielu moich czytelników pomyślało sobie: „nieobliczalny, niewinny facet rzeźbi jakieś dzikie, dziwaczne bryły, a ten (niby ja) wziął je na serjo i próbuje wyjaśnić“. Otóż takie stanowisko uważałbym za głęboko niesłuszne. Szukalski nie jest wcale taki niewinny i nieszkodliwy. Gdy Hitler przed laty jeszcze niewielu wystąpił ze swoim obłędnym programem i teorją rasistowską, t. zw. zdrowy odłam opinji (również w Niemczech) wyśmiał go, ogłosił nieukiem, nieszkodliwym warjatem i wzruszywszy ramionami przeszedł nad nim do porządku dziennego. Naturalnie, nie mam zamiaru uważać Szukalskiego za polskiego Hitlera (tak „dobrze“ jeszcze z p. Sz. nie jest), ale... na Hitlera kultury i sztuki polskiej już się on w swojej „twórcowni“ szykuje. Przykro byłoby ocknąć się zapóźno.

* * *

Wracam do przykładu z „wierszem“, który nie był wprawdzie wierszem, a jednak sens jego rozumieliśmy.

Rymy rzeźbiarskie (technika) w dziełach Szukalskiego są, sens (reakcyjny) również, ale założyciela „twórcowni“ nie umiemy uznać za artystę ani zrozumieć, gdyż metoda przezeń użyta — *zupełne oderwanie dzieła sztuki od mas* — doprowadziła do nonsensów i uczyniła go nam obcym.

DOKUMENTY

W listopadowym numerze „Sygnałów“ ukazał się artykuł „Osiedla robotnicze“. Pragnę dorzucić do tego artykułu kilka cyfr i wyjątków ze sprawozdań opiekunów społecznych „Akcji Radio Dzieciom“, które ilustrują warunki mieszkaniowe proletarjatu lwowskiego. Kartoteki „Akcji“ zawierają sprawozdania z opieki nad tysiącem dzieci w 450 rodzinach. Kiedyś zostaną one obszernie opracowane. Dziś, ponieważ trudnoby mi było objąć tak olbrzymi materjał, opieram się na sprawozdaniu z r. 1932. Sprawozdanie to, sporządzone w celu wysłania młodszych dzieci na kolonje letnie dla dzieci w wieku przedszkolnym, zajmuje się jedynie dziećmi od lat 5—7.

Otóż na 100 dzieci w rodzinach liczących przeciętnie od 4—12 osób jedynie 5 mieszka w mieszkaniu dwuizbowem (pokój z kuchnią). Przytem i w tych mieszkaniach niema oczywiście mowy o łazience, woda jest najczęściej na ganku, a ubikacja wspólna dla całego piętra.

25 dzieci — w mieszkaniach jednoizbowych, przepełnionych, ale suchych i względnie jasnych.

29 dzieci — w jednoizbowych, wilgotnych, ciemnych, czasem wogóle pozbawionych okien (światło wpada z korytarza przez oszklone drzwi).

20 — w suterynach (zdarzają się mieszkania bez podłogi).

7 — w piwnicach.

2 — w piecu po wypalonych cegłach.

2 — w stajni.

1 — w mieszkaniu odgrodzonem z korytarza, bez okna.

2 — w budce.

2 — w walącym się domku, o przeciekającym, zalepionym papierami pakunkowemi, dachu.

5 — nie posiada własnego mieszkania, mieszka wraz z rodzicami u innej rodziny „kątem“.

Większość dzieci (na 100 tylko 23 udało się dzięki wysiłkom opiekunów umieścić w ochronkach, gdzie spędzały kilka godzin), nie wychodzi spowodu braku odzieży, przez całą zimę.

Powtarzam — dzieci te były spośród tysiąca innych dzieci bezrobotnego proletarjatu wybrane *jedynie na podstawie wieku*, nie zaś największej nędzy, czy najgorszych warunków materjalnych. Przyczem nie były to t. zw. dzieci „bezdomnych“, mieszkających w rowach, na wózkach i w opuszczonych grobach na cmentarzach.

A teraz pozwolę sobie podać kilka wyjątków ze sprawozdań opiekunów.

Kartoteka Nr. 26. Sprawozdanie opiekuna M. W. Mieszkanie rodziny K., ul. Kordeckiego 46:

„Suteryny. Wilgoć taka, że woda leje się po ścianach. Pleśń aż drapie w gardle. Okienka (pół metra kwadratowego) roztworzyć nie można — zabite gwoździami, gdyż tuż pod niem, znajduje się na podwórzu cuchnący kanał. Izdebkę zamieszkuje 7 osób. Rodzice i pięcioro dzieci od roku do 10 lat, dwoje najmłodszych chore (komplikacje po szkarlatynie). Cała rodzina posiada jedno łóżko“.

Kartoteka Nr. 18. Sprawozdanie opiekunki M. S. Mieszkanie rodziny Z., Kleparów:

„Mieszkanie składa się z jednej jasnej i dość dużej izby, którą zamieszkuje 8 osób. *Rodzice i sześcioro dzieci od lat 15 do 3. Ojciec chory na otwartą gruźlicę. Jedno łóżko*“.

Kartoteka Nr. 21. Sprawozdanie opiekunki F. S. Mieszkanie rodziny B. ul. Dekerta 7:

„Mieszkanie jest przerobione z piwnicy, w której otynkowano ściany i wstawiono podłogę, gnijącą zresztą od wilgoci. Okienko nie roztwiera się — nie posiada ram. Prawie zupełnie ciemno. Rodzina składa się z pięciu osób. Rodzice, babka i dwoje dzieci, jedno sześcio, drugie czteroletnie“.

Kartoteka 44. Opiekun M. W. Mieszkanie przy ul. Zielona 43:

„Zofja K. mieszka kątem w izbie widnej, lecz bardzo wilgotnej i nieopisanie brudnej. Ilości osób, które ją zamieszkują niepodobna ustalić. Oprócz bowiem „gospodarzy“, Zofji K. z sześcioletnią córeczką i jeszcze jednej kobiety z dziewięcioletnią dziewczynką, mieszkają tam jacyś często zmieniający się mężczyźni, bez bliżej określonego zajęcia i prostytutki. Sześcioletnia Stasia była już zarażona syfilisem“.

Kartoteka Nr. 120. Sprawozdanie opiekunki I. K. Mieszkanie rodziny S. ul. Piekarska 91:

„Nieduża izba w suterynie, ciemna, wilgotna, bez podłogi. Oprócz S. mieszka w niej najstarszy syn z żona i dzieckiem. Razem 9 osób. Czworo dorosłych i pięcioro dzieci“.

Kartoteka Nr. 125. Sprawozdanie opiekunki S. S. Mieszkanie rodziny B., ul. Pod Dębem 24:

„Warunki mieszkaniowe nie do opisania. Mieszkają w piwnicy ciemnej, mokrej, bez podłogi. Na ziemi błoto. Z nietynkowanych ścian leje się woda. Straszliwy smród z pobliskiej kloaki. Jeden barłóg bez poduszki i koca. Egzystencja nie mająca nic wspólnego z ludzką. Przenikliwe zimno. Oglądane poprzednio cztery ciemne i wilgotne mieszkania w suterynach wydają się w porównaniu z tem mieszkaniem pałacami. Zamieszkuje tę norę rodzina złożona z pięciorga osób. Rodzice i troje dzieci, z których najstarsze liczy lat 10, najmłodsze 7 miesięcy“.

Kartoteka Nr. 135. Sprawozdanie opiekunki D. R. Mieszkanie czterech rodzin bezrobotnych w jednej izbie, w walącym się domu, przy ulicy Mickiewicza w Lesienicach:

„Warunki mieszkaniowe straszne. Jedenaście osób w jednej izbie. Dach nie stanowi żadnej ochrony przed deszczem i śniegiem. Mieszkańcy zakleili cały sufit papierem pakunkowym, ale to oczywiście niewiele pomaga. Podczas deszczu zastałem ich wszystkich skulonych pod jakiemiś okrągłemi blaszanemi pudełkami, zdaje się od śledzi. Największe jednak wrażenie zrobiło na mnie to, że ci ludzie są opanowani jakimś obłędnym strachem przed — eksmisją“.

I tak dalej w nieskończoność. Wyliczanie byłoby bardzo monotonne.

W takich „mieszkaniach“ dzieci proletarjatu żyją i umierają. Z nich wynoszą choroby, zboczenia i często na całe życie pozostające urazy. Do nich wracają później ze szkoły, gdzie udziela im się doskonałych, higienicznych rad („sypiaj przy otwartem oknie“, „czystość, powietrze i słońce to zdrowie“ i t d., i t. d.).

Te mieszkania odwiedzają opiekunowie społeczni, udzielając zasiłków na pobielenie ociekających wilgocią ścian, a w niektórych miastach — rozdając doniczki z kwiatkami.

W tych mieszkaniach wreszcie „gorące serca, które zwalczą mróz“ mają rozpalić gasnące ogniska domowe.

To bardzo pięknie. To bardzo dobrze.

Ale sądzę, że oprócz „gorących serc“ powinny się także znaleźć gorące głowy, które nie zniosą dłużej tej hańby i młode, niecierpliwe ręce, które — rozwalą te nory!

Halina Górska

LUDZIE-SYMBOLE

KAROL OSSIETZKY

W dzisiejszych ponurych czasach mamy do zanotowania ważny i głęboko pocieszający fakt: Carl von Ossietzky otrzymał nagrodę pokojową Nobla za r. 1935.

Pisaliśmy o nim w „Sygnałach“ w numerze lipcowym (19). Jedni z nielicznych w Polsce żądaliśmy dla niego nagrody Nobla. Podaliśmy do publicznej wiadomości, że Związek Zawodowy Literatów Polskich odrzucił wniosek o poparcie projektu przyznania tej nagrody Ossietzkiemu, gdyż uznano go za wniosek — polityczny. Innego zdania byli najznakomitsi pisarze, uczeni, działacze kulturalni, społeczni i polityczni całego świata: domagali się nagrody pokoju dla Ossietzkiego. Zebrano setki tysięcy i miljony podpisów.

I Karol Ossietzky nagrodę otrzymał. Jest to moralne i polityczne zwycięstwo humanitaryzmu nad barbarzyństwem, idei pokoju nad ideą imperjalizmu i wojny. Jest to również potępienie Hitlera.

MARJAN CZUCHNOWSKI

Przed dwoma miesiącami został aresztowany z niewiadomych powodów znany i wybitny poeta Marjan Czuchnowski.

Jego ostatni, wydany drukiem w książce, poemat „Powódź i śmierć“ skonfiskowano. Poemat ten był poprzednio drukowany w całości w różnych czasopismach i ani jeden jego wiersz nie był przez cenzurę kwestjonowany.

Marjan Czuchnowski został przewieziony z więzienia w Gorlicach do więzienia w Jaśle, zakuty w kajdany. Przebywa tam od szeregu tygodni. Nie dopuszczono do niego ani jego siostry ani też obrońcy.

Nikt nie wie, co się z nim dzieje. Władze nie podają motywów uwięzienia.

Marjan Czuchnowski jest chorowity. Pobyt w więzieniu może całkowicie zniszczyć jego zdrowie.

W obronie aresztowanego i zakutego w kajdany poety wystąpiły pisma socjalistyczne i ludowe, „Wiadomości literackie“ i Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Nikt więcej. Nie zabrał głosu Związek Zawodowy Literatów Polskich, którego jednym z celów jest „obrona moralnych i materjalnych interesów członków“.

Sprawy Marjana Czuchnowskiego nie wolno przemilczeć. Nie jest ona tylko sprawą policyjną i sądową, ale sprawą całej literatury polskiej, sprawą wolności i niezależności myśli i słowa.

ROMAN KOŁONIECKI

W tym samym mniejwięcej czasie, gdy aresztowano Marjana Czuchnowskiego i prowadzono do więzienia zakutego w kajdanach, otrzymał nagrodę literacką Warszawy, mało komu dotąd znany, Roman Kołoniecki.

Nagroda ta jest znamienna dla dzisiejszych czasów.

Jest ona jeszcze jedną kompromitacją polskiej literatury oficjalnej.

Roman Kołoniecki nie jest poetą nawet przeciętnym. Jego wiersze — dość liczne zresztą — są grafomańskie. Lepsze są przekłady, ale za nie nikt nie udziela nagrody.

Mówi się powszechnie, że Kołoniecki został nagrodzony jako poeta „państwowy“, za wiersze — bardzo złe — o Marszałku Piłsudskim. Jeśli miarą nagrody była „państwowość“ poety, dlaczego nie otrzymał jej np. Wierzyński? Napisał przecież znacznie lepszy tom wierszy o Piłsudskim, aniżeli Kołoniecki.

Wynika z tego, że Kołoniecki jest typowem dzieckiem Warszawy, gdzie wszystko załatwia się „wysokiemi“ znajomościami, telefonami, służalstwem i tym podobnemi sposobami zdobywania protekcyj.

Bolesne zestawienie: Marjan Czuchnowski i Roman Kołoniecki.

K. K.

KSIĄZKI POETYCKIE

Henryk Balk: Rozmowy z nocą. Wyd. „Droga“.

Jest to typ poezji — inkantacyjny, iluminatorski, odmieniający przez wszystkie przypadki cyzelowanej formy jakby statyczne natchnienie. Liryczna odkrywczość poety nie posuwa się z gradacją wiersza, lecz trwa na jednym diapazonie, próbuje drążyć wgłąb zjawiska. Niekiedy drugie i trzecie wyrazy bywają słabsze od pierwszych, niekiedy, zbyt późno, silniejsze. Ich charakter pointylistyczny wyładowuje się razporaz spięciem, ani na chwilę nie demonstruje myśli bez formy, z wysiłkiem nawet zdaje się tę myśl prześladować pewną z góry powziętą architektoniką. Dlatego, być może, mimo wzruszającej postawy pisarza, nie wzrusza, dla niego samego nie jest odkryciem — tylko stwierdzeniem.

Sylwetka Balka zarysowuje się wyraźnie między metafizycznem nauczycielstwem a prywatną neurastenją, „srebrne i czarne“; kawiarnia i Bóg. Swoje szepty stara się przelać w ucho powiernika gorącemi wargami i spękanemi od bezsenności. Ale i w nocy bywa rachmistrzem, chyba wie, że prawdziwy nie będzie efetowny, dlatego jest postacią doskonale dorysowaną, czterdziestoletnią, choć daleko mu jeszcze do lat czterdziestu. Palto i pyszny profil pewnego najosobistszego liryka z Warszawy nie schodzą z jego horyzontu jako emblemat „dzisiejszych czasów“.

Jednak zmienić go w granicach analogij niepodobna. Niewątpliwie indywidualne odczucie ludzkiej jednostkowej bezradności w orgji biologicznego istnienia i płynąca stąd skłonność do biblijnego archaizowania — pozwalają zbliżyć się nad krawędź tych prawd, które poecie dyktują słowa. Zapewne sądzi, i to słusznie, jeśli w tych rzeczach można wyrokować, że świat po ostatnim dniu stworzenia był prostszy od dzisiejszego. Człowiek produkt obecnego stanu, myśli o nim, więc pragnie go osądzić. Czy ów akt ma jakieś szanse zdobycia prawdy w pozalogistycznem znaczeniu?

Próby lirycznej objektywizacji w takich wierszach jak „Ballada o robotniku Grudzie“ (nie jest ballada), jak „W knajpie“, „Do przyjaciół“, są pozytywnem osiągnięciem. Konkretność lepiej od abstrakcji i celowego prymitywu jest podatna wzruszeniu i sama, przemocą, płynie pod pióro.

Bolesław Leśmian: Napój cienisty. Warszawa. J. Mortkowicz.

Trudno ten spory tom objąć jednym „spojrzakiem“, wyrażając się mową poety. Dawniej milkliwy, rozgadał się. Przypuszczam — ze szkodą dla swego talentu. Głębokie, pogańskie wyczucie przyrody roztrwonił w niesmacznem dziwaczeniu, w nieszczęsnych nowotworach, których połowa przynajmniej powinna pójść na szmelc. A już patologicznie niepokojąca jest wynalazczość poety, gdy idzie o ton erotyków. Brak krytycyzmu w tem dobieraniu się przy pomocy słowa do orgjastycznej jurności zdumiewa i rozbraja.

Leśmian patrzy prasłowiańsko, więcej — słowa i elementy cofa w epokę dynosaurów, stąd rozpętana orgja witalizmu straszy w jego wierszach i przedrzeźnia Boga. Indywidualnie wymyślona mitologja nagina do swych nazw rymy, okaleczałe, bezkręgowe słowa. Z tem nie można się zgodzić. Ale obok rzeczy żałosnych — znajdujemy też świetne. Zwłaszcza tam, gdzie napór bezforemnego tworzywa znajduje przeciwwagę w skupieniu i namyśle. Do takich pięknych wierszy należy „Srebroń“, o głębokiej, metafizycznej kontemplacji, do uroczych znowu — „Dwaj Macieje“, którzy poszli w las szukać zioła nieśmiertelności. Jest to pisane jakgdyby jęzorem niedźwiedzia, umaczanym w miodzie. Szkoda, że utworów tak udatnych jest w tomie zamało.

Tytus Czyżewski: Lajkonik w chmurach. — Warszawa. Gebethner i Wolff.

Malarz i poeta, wedle własnych wynurzeń, realizuje typ poezji odlogicznionej, w znaczeniu marinettowskiem. Zresztą — niezbyt konsekwentnie, co wynika prawdopodobnie z rozbieżności nastrojów na przestrzeni kilku lat. Znajdujemy więc w tomie wiersze „tradycjonalne“, w rodzaju wspomnień z Hiszpanji, dalej prymitywy góralskie („Pastorałka“) i surrealistyczne, skojarzeniowe, jak „Warszawa o 5-tej rano“. Trudno o bardziej indywidualne pojęcie rygorystycznej reguły, a zarazem o równie ascetyczne. Czyżewski rezygnuje z melodyjności wiersza i nie przechodzi do metod awangardy, nie skupia (może eliminuje), nie tryska metaforami, kroczy własną, bardzo niewdzięczną drogą.

Obrzęd Lajkonika i inne misterja ludowe, które zajmują sporą część książki, opisuje z umiłowaniem i znawstwem.

Ponieważ mam chłodny stosunek do utworów tego typu i nie chcę ryzykować kryterjów, przeznaczonych do badania innego materjału, ograniczam się do tych niewielu zdań.

Marjan Promiński

Józef Nacht: Podział godzin. Księgarnia Lwowska, 1936.

Tomik tych wierszy wywołuje jedną reakcję, godną uwagi — irytuje. A to już znaczy bardzo wiele. Trzeba powiedzieć szczerze: Józef Nacht powiedział swoje pierwsze słowo poetyckie w sposób interesujący, choć właśnie irytujący. Wiersze Nachta, to wiersze niewątpliwego poety, poety nietylko młodego, ale wręcz młodzieńczego. Nacht operuje swoim materjałem poetyckim bardzo nieporządnie, nie umie jeszcze zorganizować samego siebie, nawet najlepsze wiersze tego zbiorku stają się wskutek tego chaotyczne i nieprzemyślane. Niezdyscyplinowane.

Największą ich wadą jest forma: albo wręcz nieporadna, albo przefajnowania. Obok rymów doskonałych znaleźć można rymy albo „nieporządne“, puszczone, albo zbyt wyśrubowane. Nie można się oprzeć wrażeniu, że do wyszukanego rymu poeta nagina treść.

Tomik jest dziwną mieszaniną rzeczy dobrych i złych, kunsztu i łatwizny; jest chaotyczny. Irytuje to, że wydaje się nam, iż Nacht chce nas zepatować tą właśnie postawą.

Poważnem zagadnieniem są jego zalety, wskazujące na to, że Nacht jest poetą, który powinien pracować i dojrzeć. Nacht ma i wielkie, jak się to wydaje, możliwości liryczne, i temperament urodzonego satyryka. Pozatem nie znać na nim manierujących najczęściej wpływów awangardy. Ojcem tego tomiku jest ojciec wszystkich niemal młodszych wierszy w Polsce — Tuwim. Ojcostwo zatem pierwszorzędne. Nacht powinien pozbyć się przesady, chęci epatowania, zbyt wyszukanych rymów, pracować nad prostotą i jasnością wiersza. Bo dzisiaj jego „Podział godzin" pachnie jeszcze prawdziwą szkołą, razem z wierszykami dla pensjonarek. Opanowanie się, unikanie tego, z czego można w wierszu zrezygnować po namyśle, niezamieszczanie wszystkich wierszy w tomiku tylko dlatego, że się je napisało, czy nawet wydrukowało, wszystko to może i powinno za kilka lat pozwolić Nachtowi wydać nowy, już nie młodzieńczy ale młody dojrzałą młodością tom wierszy, który radzę już dziś zatytułować — „Podział czasu", albo „Podział siebie", a najlepiej już: „Racjonalny podział czasu i siebie".

Tadeusz Hollender

KORESPONDENCJA

Redakcja udziela odpowiedzi tylko w dziale „Korespondencja", oceni się nie podejmuje, niezamówionych rękopisów zasadniczo nie zwraca. Prace, umieszczone w „Sygnałach", nie są honorowane.

J. Sch. Lwów. Nie do druku. Za życzenia serdecznie dziękujemy.

A. W. Paryż. Artykułu z przyczyn zrozumiałych nie możemy drukować. Przedruku w piśmie wileńskiem nie znamy. Za przeoczenie przepraszamy. Prosimy o dalszą współpracę. Prosimy przyjąć pozdrowienia.

St. N. Warszawa. Dziękujemy. Część materjału drukujemy.

M. Z. Krzemieniec. Feljeton, niestety, nie do „Sygnałów". Pragniemy uniknąć autoreklamy.

St. R. D. Dziękujemy. Zasyłamy serdeczne pozdrowienia.

St. T. Wojsławice. Niestety, nie do druku w „Sygnałach" Dziękujemy za życzliwość i zasyłamy pozdrowienia.

R. L. Łódź. Nie możemy drukować. Prosimy o pamięć.

L. Sz. Warszawa. Prosimy o większy wybór. Zasyłamy serdeczne pozdrowienia.

J. Korycic. Wiersz zachowujemy. Numer 20-ty został już poprzednio wysłany.

L. L. Łódź. Prosimy o coś innego, bardziej konkretnego.

R. Br. Łódź. Prosimy o większy wybór utworów satyrycznych.

M. B. Lwów. Nie do druku. Za życzenia serdecznie dziękujemy.

A. Fr. Artykuł umieścimy w jednym z najbliższych numerów. Dziękujemy za życzenia i przesyłamy pozdrowienia.

S. P. Warszawa. Artykuł zachowujemy do dalszych numerów.

Ergie. Lwów. Nie skorzystamy.

J. S. Warszawa. Dziękujemy. Będzie w następnym numerze.

A. Dz. Nowogródzkie. Nie do druku. Wiersz o „Sygnałach" bardzo nas ucieszył. Za życzenia dziękujemy. Zasyłamy pozdrowienia. Adres: „Trybuna młodych". Lwów, Fredry 6. Cena numeru 10 gr. Dwutygodnik.

L. B. Lwów. Nie do druku.

A. W. Warszawa. Dziękujemy. Przyślijcie ciekawsze fragmenty z życia wsi.

J. D. Nancy. Dziękujemy serdecznie za tak miły list. Odpowiemy listownie. Niestety, Hollender nie mógł na czas Wam odpowiedzieć. Prosimy o pamięć. Miło nam będzie nawiązać z Wami ściślejszy kontakt.

A. S. Warszawa. Trudno nam cokolwiek wybrać. Brak opracowania literackiego.

R. R. Warszawa. Wiersze bardzo szlachetne, ale nie do druku. Nie posiadają poważniejszych wartości literackich.

M. B. Łódź. Dziękujemy. Wiersz za długi. Prosimy o pamięć. Zasyłamy pozdrowienia.

OD WYDAWNICTWA

Zwracamy się do naszych przyjaciół i czytelników z prośbą o rozpowszechnianie „Sygnałów". Prosimy również o wpłacanie prenumeraty i choćby drobnych kwot na fundusz prasowy. Przyczyni się to do podniesienia wartości pisma i obniżenia jego ceny. Najszersza baza czytelnicza jest ostoją każdego niezależnego pisma. Każdą kwotę, wpłaconą na fundusz prasowy „Sygnałów", będziemy ogłaszali w specjalnej rubryce.

Nie wszyscy kolporterzy wywiązują się z przyjętych na siebie zobowiązań. Jesteśmy zmuszeni ogłosić obecnie pierwszą listę kolporterów, którzy nie nadesłali rozliczeń i zwrotów z wysłanych im numerów „Sygnałów": M. Basis, Krzemieniec. — A. Sztern, Łaszczów lub. — P. Peress, Równe, 3 Maja 188. — I. Klajnminc, Sandomierz, Opatowska 3. — Ch. Zylbergeld, Tomaszów lub. — E. Schimmel, Ustrzyki Dolne. — M. Młynarski, Wodzisław K. Jędrzejowa. — Sz. Sztyler, Równe, 3-Maja 201. — P. Liberman, Międzyrzec k. Łukowa.

Numer następny 25 (ukaże się wyjątkowo 23 grudnia br.), który jest poniekąd numerem „jubileuszowym", świątecznym i rozpoczynającym nowy rok naszej pracy, pragniemy wydać powiększony, na 16 stronach. Wezmą w nim udział wybitni pisarze polscy i będzie bogato ilustrowany. Zwiększenie objętości numeru powiększa znacznie jego koszty (cena numeru będzie niezmieniona). To, czy numer 25 ukaże się powiększony, zależy od czytelników i kolporterów. Jeśli wszyscy w jaknajkrótszym czasie wywiążą się ze swoich obowiązków, będziemy mogli godnie uczcić 25-ty z kolei numer „Sygnałów".

„SYGNAŁY"
należy czytać
prenumerować
rozpowszechniać

DONOS NA AKADEMJĘ

Bo wam się wszystkim naiwnie zdaje,
że mamy polską Akademję,
a mnie znajomy mówił ajent,
że to nie całkiem jasno z tem jest.

Bo wam się zdaje oczywiście
że tylko sejm piętnastu panów,
ja wiem, że nimi komuniści
kierują według swego planu.

Pytacie pewnie, kto? — Rzymowski.
O, krwawy starcze, tum cię szukał,
twój wpływ masoński, wpływ żydowski
czuje dziś sztuka i nauka.

A Boy? Nałkowska? Staff? A Kleiner?
A Irzykowski? Socjalista!
A wciąż Huberta brak w ferajnie!
Aha! Więc co? Już oczywista?

Bo jeden Wacław Sieroszewski
nic tu nie sprawi w sposób żaden,
gdy Miriam śpiący i litewski...
Kaden? — Cóż znaczy jeden Kaden.

Zato Rzymowski sprawnie rządzi,
czuje to dzisiaj polska ziemia,
serce stolicy toczy trądzik,
który się zowie — Akademia!

O, znamy akademje wasze
na cześć Stalina i Hiszpanji,
o, znamy dobrze ten zapaszek
„siostrzycy" Francji, moja pani!

Napozór nic — nagrody młodych,
Prus, rauty, mowy, posiedzenia,
ale spojrzyjmy, co pod spodem,
nie w salach głównych, lecz w — podziemia!

Tam się drukuje inny „Płomyk",
składają go zecerzy nadzy,
ulotki, druki, tajne tomy —
prawie pod okiem samej władzy.

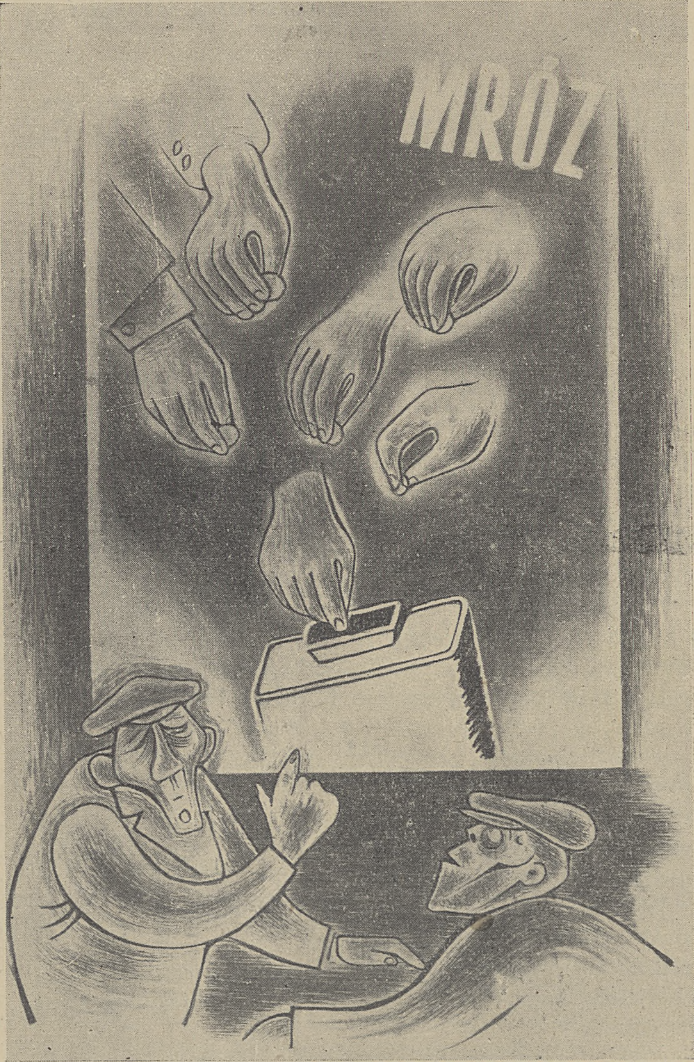
A władza nie wie! Naturalnie,
o, u nas nie wie się niczego, —
aż kiedyś skończy się fatalnie
ten brak wyczucia państwowego.

Bo, co tu mówić: — w rządzie samym,
(znów od znajomych wiem ajentów)
pewni panowie, pewne panie
otwarcie lgną do elementów.

Już jeśli Ikac pisze o tem,
to coś w tem musi być spewnością,
bo Ikac zawsze wielbi cnotę
i zawsze w walce jest z podłością.

Dlatego radzę — względów nie mieć
dla wodzów, gdy się tępi pionków,
czas zamknąć całą Akademję
i bez wyjątku wszystkich członków!

TADEUSZ HOLLENDER



rys. K. Baraniecki

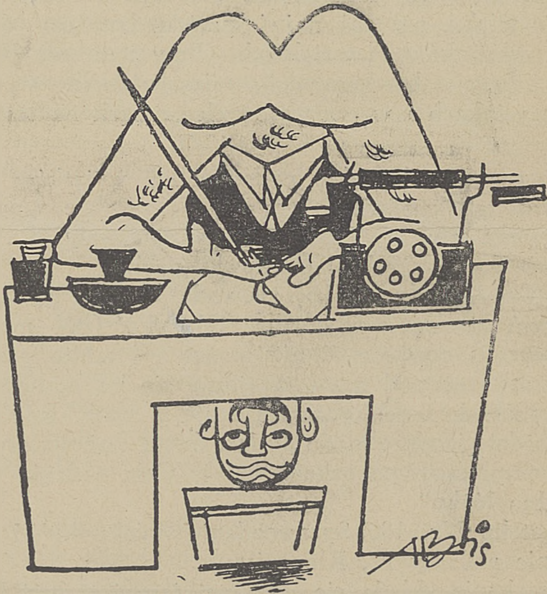
— Ta puszka jest bez dna...

Redaktor i wydawca: KAROL KURYLUK
Redakcja i administracja: LWÓW, UL. JAKÓBA STRZEMIĘ 8
codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 18—19
PRENUMERATA:
roczna 5 zł., półroczna 2·60 zł., kwartalna 1·40 zł.
Wpłacać przekazami rozrachunkowemi LWÓW Nr. 1



rys. K. Baraniecki

Za zasługi dla literatury polskiej



rys. J. Bickels

BIUROKRACIE

Myśl mnie dręczyła niska, zuchwała,
choć mam dla pana podziw i cześć:
przy biurku głowa w krześle siedziała,
a d..a rzekła: — „Podanie wnieść!"

TADEUSZ HOLLENDER

Redaktor odpowiedzialny: TADEUSZ BANAŚ. Z drukarni „SŁOWA POLSKIEGO", Lwów, Zimorowicza 15.